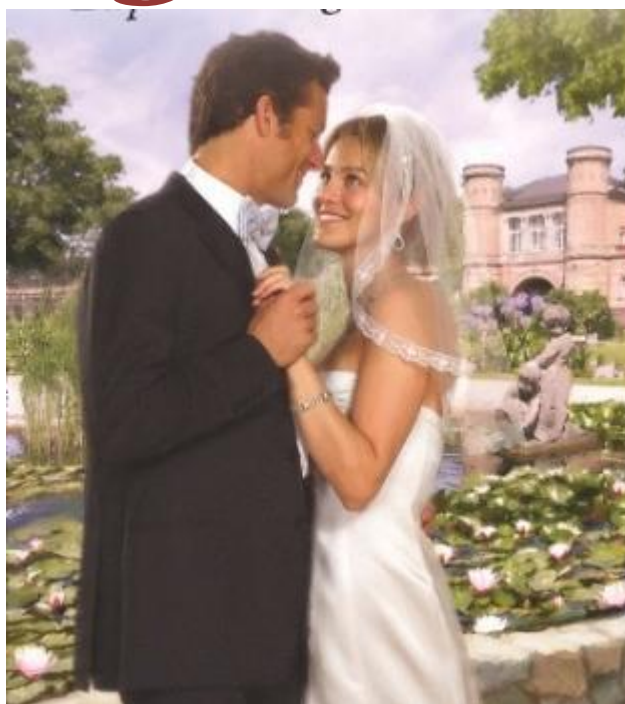




Margaret Way



Zapisane w gwiazdach

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Leo, przecież wiesz, że wcale mnie tam nie chcą. Zaprosili mnie, bo nie wypadają inaczej - stwierdził Robbie, jej brat przyrodni.

Jak zwykle rozparł się wygodnie na nowiutkiej kanapie, ciemna głowa na wysokim oparciu, długie nogi niedbale wyciągnięte na siedzeniu.

Wiele razy toczyli podobną rozmowę.

Leona zareagowała niemal odruchowo.

- Wiesz, że to nieprawda - zaprotestowała na przekór faktom. - Jesteś świetnym kompanem, Robbie, atrakcją każdego przyjęcia. Poza tym grasz w polo w drużynie Boyda, co się liczy, no i jesteś świetnym tenisistą, moim najlepszym partnerem w grze podwójnej. Roznosimy na korce ich wszystkich.

Ich wszystkich, czyli cały klan Blanchardów, którzy liczną grupą pojawią się na przyjęciu.

- Poza Boydem - stwierdził trzeźwo Robbie. - To unikat. W interesach jest nie do pokonania, IQ poza skalą dostępną zwykłemu śmiertelnikowi, świetny sportowiec, no i obiekt westchnień wszystkich pań. O czym jeszcze mógłby marzyć mężczyzna? Prawdziwy James Bond.

- Przestań mówić o Boydzie. Mnie się podoba ten nowy facet. - Jak zwykle usiłowała zamaskować swoje uczucia do Boyda. Czy naprawdę nie ma sposobu, by się wyleczyć z tego głupiego zauroczenia? Opadła na kanapę obok Robbiego. - No dobrze, zgoda, trudno sobie wyobrazić kogoś bliższego ideału niż Boyd - przytaknęła niechętnie.

Robbie zachichotał i zepchnął na podłogę jedwabną poduszkę.

- Jesteś pewna, że się w nim niekochasz? - Rzucił jej badawcze spojrzenie. Był obdarzony niesamowitą intuicją i rzadko udawało jej się go oszukać.

- To by dopiero był skandal! - Miała nadzieję, że nie oblała się kompromitującym rumieńcem. - Przecież jest moim dalekim kuzynem.

- Niedokładnie. Musiałabyś bardzo ponaciągać wasze parantele. Zresztą trudno się połapać w tych wszystkich zgonach, rozwodach i powtórnych ślubach w drzewie genealogicznym Blanchardów.

To prawda. Chwile chwały przeplatały się tu z grecką tragedią. Na przykład ona i Boyd - oboje stracili matki. Miała wtedy osiem lat. Matka Boyda, piękna Alexa, stała się wówczas jej przyszywaną ciotką i okazywała jej wiele serca aż do śmierci. Umarła, gdy Boyd miał lat dwadzieścia parę. Jego ojciec, Rupert, szef rodzinnego imperium, ledwo dwa lata później wziął sobie nową żonę, i to nie dystygowaną damę w stosownym wieku, ale ku zgorszeniu rodziny znaną z wyzywającego stylu życia rozwódkę, córkę jednego ze swoich starych kompanów i członka rady nadzorczej w koncernie Blanchardów. Nowa żona Ruperta była zaledwie parę lat starsza od Boyda, jego jedyne go syna i dziedzica.

Rodzina przeżyła szok z powodu tempa, w jakim potoczyły się wypadki. Robbie w rozmowach prywatnych nazywał drugą żonę narzeczoną Frankensteina. Wielu członków rodu podzielało złośliwe przeświadczenie, że nowe małżeństwo Ruperta skończy się brzydkim rozwodem, zażartą walką w sądzie i ogromnym odszkodowaniem.

Krewni mieli jednak tyle zdrowego rozsądku, by zachować dla siebie swoje złośliwości. Jedynym wyjątkiem była Geraldine, starsza niezamężna siostra Ruperta, która słynęła z ostrego języka i zawsze mówiła, co myśli. Mimo to Rupert poślubił swoją wybrankę Virginie - w skrócie Jinty. Senior rodu Blanchardów był przyzwyczajony do tego, że jego słowo jest prawem. A jak się wkrótce okazało, Jinty także lubiła stawiać na swoim.

- Nie mówimy teraz o Boydzie, tylko o tobie - zwróciła uwagę Leona. - Naprawdę nie wiem, czemu się wiecznie samobiczujesz.

- Doskonale wiesz. Zawsze miałem niską samoocenę - westchnął. W jego ciemnych oczach dostrzegła tego samego zbuntowanego sześciolatka, którego pokochała czternaście lat temu. - Moim problemem jest to, że właściwie nie wiem, kim jestem. Carlo mnie nie chciał. Nawet nie walczył z matką o opiekę nade mną. Twój ojciec, a mój ojczym, jest dżentelmenem starej daty, ale pojęcia nie ma, jak mnie traktować. Widać, że nie spodziewa się po mnie niczego dobrego. Najdroższa mamcia nigdy mnie nie kochała. I wcale się nie dziwię. Przypominam jej o Carlu i nieudanym małżeństwie. W dodatku nie jestem prawdziwym Blanchardem. - Jego młodą twarz wykrzywił gorzki grymas. -

Jestem kukułczym jajem w tej rodzinie, emocjonalnie zaniedbanym adoptowanym synem.

Miał sporo racji, ale Leona nie mogła powstrzymać irytacji.

- Proszę, Robbie, daruj sobie tę psychodramę! - Opadła na fotel naprzeciwko, jakby nie była w stanie dźwigać ciężaru ustawicznego lęku o młodzieńca. - Musisz się tak rozwałać na mojej nowej sofie? - zapytała, choć w gruncie rzeczy nie miała nic przeciwko temu.

Robbie jak zwykle wyglądał nienagannie, a jego ubranie i fryzura świadczyły o wrodzonym smaku. Świetnie wiedział, że wymaga się od niego elegancji - rodzina ceniła schludny wygląd i dobre maniery - a mimo całego malkontenctwa potrafił dbać o własne interesy.

- Pokusa jest zbyt wielka. Twoja sofa jest wygodna i miękka. Masz świetny gust, Leo. Pod każdym względem jesteś super. A co ważniejsze, jesteś nie tylko piękna, ale i dobra. Bez ciebie nie przetrwałbym w tej rodzinie - bez mojej siostry i powierniczki, bez mojej opoki. Jesteś jedyną osobą, która nie uważa, że jeszcze wyjdzie ze mnie kawał łobuza.

- Oj, przestań! - zaprotestowała.

- Tak, tak - upierał się Robbie. - Wszyscy tylko czekają, aż będzie można powiedzieć, że jestem nieodrodnym synem Carla i zawsze się tego po mnie spodziewali. Z ich punktu widzenia najlepiej by było, gdybym wpadł pod autobus.

Jak zwykle trafnie ich ocenia, pomyślała przygnębiona. Nie mogła się powstrzymać, by nie wykorzystać tak dobrej okazji do wtrącenia paru słów na temat jego skłonności do gier hazardowych.

- Musisz przyznać, że twoje upodobanie do kart i wyścigów jest wystarczającym powodem do zmartwienia, Robbie. - Nie miała odwagi dodać narkotyków do listy jego grzeszków. Całkiem niedawno zrobiła mu na ten temat awanturę. Robbie włączył się w towarzystwie podobnej do niego złotej młodzieży, dla której jedynym celem w życiu była przyjemność, a właściwie to, co sami uważali za przyjemne. Z pewnością nie była to praca. Dowiedziała się, że palił marihuanę, jak wielu jego kompanów. Była prawie pewna, że do tej pory nie eksperymentował z innymi narkotykami.

Robbie, podobnie jak ona, zmagał się z problemami, które wiązały się z noszeniem nazwiska Blanchard. Oznaczało ono nie tylko prestiż, władzę i bogactwo, ale również emocjonalną presję, standardy i obligacje. Jednak w przeciwieństwie do niej Robbie nie był silny psychicznie.

Była jedyną osobą, której słuchał. Jego starsza siostra. Od lat nie myśleli o tym, że są rodzeństwem wyłącznie ze względu na ślub rodziców. Robbie mówił o niej „moja siostra”, a ona nie nazywała go inaczej niż „mój brat”. Brak więzów krwi był bez znaczenia. Jej ojciec adoptował Robbiego zaraz po tym, gdy ożenił się z jego matką, Delią. Ludzie, którzy nie znali ich historii, zawsze komentowali ze zdziwieniem: „Ależ wy wcale nie jesteście podobni”. Nic dziwnego. Robbie - ochrzczony jako Roberto Giancarlo D'Angelo - fizycznie przypominał swojego włoskiego ojca, podczas gdy ona była rudzielcem z porcelanową cerą i zielonymi oczami.

- Czysta secesja - skomentował kiedyś jej wygląd Boyd. Innym razem porównywał ją do bohaterki romantycznych i sentymentalnych obrazów prerafaelitów - wiotkiej wiosennej nimfy leśnej z pięknymi długimi rudymi włosami, snującej się melancholijnie w powłóczystych szatach. Nie była w jego typie. Zazwyczaj spotykał się z eleganckimi brunetkami o długich nogach i kobiecych kształtach, podczas gdy ona była płaska jak deska do prasowania. Nie myśl o Boydzie.

Świetna rada. Powinna ją wcielić w życie. Wystarczy, że od czasu do czasu muszą się spotkać twarzą w twarz.

- Obiecuję ci, że coś z tym zrobię, Leo - wyrwał ją z zamyślenia głos Robbiego. - Czy rodzinka nadal obgaduje mnie za plecami?

Przy każdej okazji, pomyślała. Pełne zgorszenia komentarze starszego pokolenia. Delia, jego matka, leżąca krokodylę łzy nad ostatnimi wyskokami syna marnotrawnego.

- Nie lekceważ Boyda - ostrzegła. - Wszędzie ma oczy i uszy.

- Uuu! Wielki Brat cię śledzi! - zaśmiał się, autentycznie rozbawiony, ale Leo umiała czytać między wierszami. Jego cyniczne kpiny nie zmieniały faktu, że Boyd uosabiał to wszystko, czym chciałby być Robbie. - Godny potomek wielu pokoleń milionerów, a teraz nawet miliardarów. Oto mężczyzna dla ciebie.

- Sama nie wiem. - Leo wydeła piękne usta.

- Opamiętaj się wreszcie. - Uśmiechnął się przekornie i nagle wyprostował ze zręcznością i gracją uniwersyteckiego mistrza w gimnastyce. - Może to twój książę z bajki...

- Na pewno nie - zaprotestowała rozzłoszczona.

- Dobrze się maskujesz, ale znam cię lepiej niż ktokolwiek inny. Podziwiasz go jak wszyscy. Zresztą łącznie ze mną. Czasem mnie doprowadza do szału, ale wiem, że ma dobre intencje. Przerasta mnie o dwie głowy. Jest ulepiony z innej gliny niż my, zwykli śmiertelnicy. Urodzony bohater. Na mnie wszyscy patrzą jak na potencjalnego nieudacznika. Nic dziwnego, że cała rodzina uwielbia Boyda. Jest pewnie najbardziej pożądaną partią w kraju, kobiety tracą głowę na jego widok, tyle osiągnął, a jeszcze nie ma trzydziestki...

- Ma. Od miesiąca - przerwała Leona.

Nie miała siły słuchać tej wyliczanki przymiotów Boyda.

- Coś takiego! Czemu mnie nie zaproszono na przyjęcie urodzinowe?

- Nie było przyjęcia. Solenizant nie miał czasu.

- Nic dziwnego. Prawdziwy z niego pracoholik. Ale za to jakie rezultaty! Już teraz mógłby przejąć rodzinne imperium po Rupercie. Boyd i Jinty - ta kobieta zdecydowanie nie jest moją faworytką - to jedyne osoby w całym klanie, które nie boją się starego Rupe'a. A żeby było dziwniej, ten bezduszny czort ma do ciebie słabość. To jedyne, co w nim lubię. Choć on mną pogardza.

- Nieprawda. - Leona potrząsnęła energicznie głową, chociaż wiedziała, że Robbie się nie myli. Despotyczny Rupert zwykł mawiać, że chłopak Delii do niczego się nie nadaje. - Zatrudni cię w firmie, kiedy tylko skończysz studia.

Robbie był naprawdę bardzo bystry. W tym także miał rację: Rupert zawsze okazywał jej zainteresowanie, i to od czasu, gdy była małą dziewczynką. Innych ludzi onieśmiał chłodem i bezwzględnością, a wobec niej był serdeczny i delikatny, szczególnie w tych koszmarnych dniach, gdy straciła matkę. Serena zginęła w tragicznym wypadku podczas konnej przejażdżki w posiadłości Brooklands. W tych odległych czasach jej prawdziwą opoką stał się Boyd, sześć lat starszy od niej, już jako czternastolatek wybitnie przystojny i mądry. Wziął ją pod swoje skrzydła, jakby była zabłąkanym

brzydkim kaczątkiem. Opiekował się nią w czasie rodzinnych uroczystości, bez żadnego przynaglania ze strony dorosłych. Leona patrzyła wówczas w niego jak w słońce. Oczywiście, wyrosła z tego dziecinnego uwielbienia dla dawnego idola. Wtedy jednak darzyła go bezkrytyczną adoracją, jakby był wszechmocnym bóstwem.

Nie śmiała patrzeć mu w oczy. W jego towarzystwie pocily jej się ręce ze zdenerwowania, ale też zapierało jej dech w piersiach ze szczęścia. Stanowił prawdziwe wyzwanie, dla niego starała się wspinać na szczyty dziecięcego intelektu. Cierpiała przez niego prawdziwe udreki, a jednocześnie przyciągał ją jak magnes. Wszystko ją fascynowało - w równej mierze osobowość chłopaka, co niesamowite niebieskie oczy o przesywającym spojrzeniu.

Gdy chodziło o Boyda, zamieniała się w kłębek nerwów. Nie mogło być mowy o jakimkolwiek związku między nimi. Zresztą chyba nigdy nie spojrzał na nią z tego typu zainteresowaniem. A właściwie jak on na nią patrzył? Czasem sprawiał, że czuła się przy nim wyjątkowo piękna - jako człowiek i jako dziewczyna. Czasem zdawało jej się, iż stara się ją odepchnąć. Ostry język, lodowate spojrzenie. Cóż, jej szczenięca adoracja z pewnością nie była odwzajemniona.

- Myślę, że zapraszają mnie, aby mieć na mnie oko. - Głos Robbiego znowu wyrwał ją z zamyślenia.

- Wszystkich nas mają na oku - odparła lekko.

- Zupełnie jakbyśmy należeli do rodziny królewskiej! Przynajmniej tyle dobrego, że doceniają, jaka jesteś mądra i utalentowana. Twoja uroda stanowi dodatkowy plus. W dodatku potrafisz się z każdym dogadać i wszyscy cię lubią.

- Poza Boydem - mruknęła z żalosną nutą w głosie.

- Pewnie ma jakiś bardzo istotny powód - zaśmiał się Robbie. - Sam się zastanawiam, czy to wasze ustawiczne czubienie się jest szczerze? A może to pozory, teatr odgrywany dla rodziny?

- Też mi teatr - prychnęła. - Po prostu gramy sobie na nerwach. Wydobywamy z siebie najgorsze cechy. - Nie da Robbiemu tej satysfakcji, że trafnie odgadł. Wystarczy, że sama dręczy się myślą o potajemnej miłości do Boyda.

- Bylibyście świetnie dobraną parą - oznajmił Robbie, jakby to przemyślał. - Boyd potrzebuje energicznej rudowłosej kobiety. Jesteś jedyną osobą, która potrafi go przywołać do porządku. Kiedyś cię do tego przekonam. Ale teraz na mnie już czas.

- Mam nadzieję, że nie wybierasz się na wyścigi? - upewniła się. Lepiej sprawdzić. W końcu to sobota, i sam środek wiosennego karnawału.

- Nie robię nic zdrożnego. - Smagła twarz Robbiego poczerwieniała. - Zabieram Deb. Będzie też Barrington i jego najnowsza flama. Jest ładne popołudnie. Dziewczyny chcą się wystroić i zabawić. Dziwię się, że ciebie tam nie będzie. Śliczny dwulatek staro Rupe'a na pewno wygra. Postawić na niego w twoim imieniu?

Leona pokręciła głową, wprawiając w ruch kosmyki, które wymknęły się z wysoko upiętego wężła.

- Nie mam najmniejszego pociągu do hazardu. Nie gram na pieniądze. Nie boję się ryzyka i działania na intuicję, ale w innych dziedzinach życia. Pieniądze rodzą pieniądze tylko dla ludzi pokroju Ruperta. - Pocałowała go czule w policzek. Była wysoka jak na kobietę. - Na twoim miejscu skrupulatnie liczyłabym każdy wydany grosz. - Robbie dostawał hojne uposażenie od jej ojca, ale miał wyjątkowo lekką rękę. Często prosił ją o pożyczki. Czasem je zwracał. Dużo częściej tego nie robił.

Odprowadziła go do drzwi apartamentu z oszałamiającym widokiem na port w Sydney. Mieszkanie było prezentem „od rodziny” z okazji dwudziestych pierwszych urodzin. Wyrazem ich uznania dla jej osiągnięć, demonstracją, że przynosi chwałę rodowemu nazwisku. Nie byłoby jej stać na tę lokalizację, chociaż nie mogła narzekać na swoje apanaże po ostatnim awansie na osobistą asystentkę Beatrice Caldwell, prawdziwej wyroczni w świecie mody i szefowej Domu Mody Blanchardów.

„Zasługujesz na to, dziewczyno. Masz oko, tak jak ja!”. Niezwykłe słowa w ustach władczej i nieskorej do pochwał Beatrice.

- Przyjdiesz na przyjęcie? - upewniała się jeszcze. - Nie zapomnij potwierdzić. - Dobre maniery nade wszystko.

- *Naturellement!* I to już wyczerpuje moją francuszczyznę na dzień dzisiejszy. Ale tylko dla ciebie, Leo. Dla nikogo innego.

- Nie bądź nieznośny, kochanie. - Objęła go siostrzanym opiekuńczym gestem i uściskała.

- Może miałbym lepszy charakter, gdyby Carlo mnie nie porzucił - przyznał Robbie ponuro. - Ale nie mógł się doczekać, żeby wrócić do Włoch, ożenić się po raz drugi i spłodzić kilkoro dzieci.

- Miejmy nadzieję, że jest dla nich lepszym ojcem niż był dla ciebie. - Głos Leony zabrzmiał wyjątkowo surowo jak na nią. Robbie był jej oczkiem w głowie i potępiała wszystkich, którzy go skrzywdzili. Była w nim jakaś wewnętrzna pustka, obolałe miejsce. Delia sprawiała wrażenie, jakby była pozbawiona uczuć macierzyńskich w stosunku do swego jedynaka. Może gdyby był podobny do niej, odziedziczył niebieskie oczy i jasne włosy...? Carlo D'Angelo nigdy się nie kontaktował z pierworodnym synem, nie podjął żadnych starań, by Robbie poznał swoje przyrodnie rodzeństwo. - To jego strata, kochanie - zapewniła go, wracając do roli troskliwej starszej siostry. - Musisz uwierzyć w siebie, tak jak ja w ciebie wierzę. - A przede wszystkim wziąć się w garść, dodała w duchu. Opierała dłoń na ramieniu brata i wyczuła, że zadrżał, jakby tłumiał jakieś reakcje, których nie chciał przed nią ujawniać. - Wszystko w porządku? Powiedziałbyś mi, gdybyś miał jakieś problemy?

- Jasne. - Zaśmiał się krótko. - Leo, kochanie, do zobaczenia w przyszły weekend w Brooklands.

- Weź ze sobą rakiety. Pokażemy im, gdzie raki zimują, jak zawsze.

- Miła myśl, prawda? - Uśmiechnął się porozumiewawczo.

- Bardzo.

Gdyby tylko wszystko było w porządku, pomyślał z przygnębieniem, kierując się do windy. Był coraz bardziej niespokojny. Czuł fizyczny ciężar na żołądku. Leo jest taka cudowna. Kocha ją całym sercem. To chyba jedyna osoba na świecie, którą kocha. W końcu zabrakło mu odwagi, by ją poprosić o pożyczkę. Kolejną. Jedną z wielu. Wciąż jest jej winien pieniądze, ale teraz desperacko potrzebował gotówki i coraz bardziej bał się ludzi, z którymi się zaczął zadawać.

Nazywając rzecz po imieniu, byli zwykłymi bandytami, nawet jeśli należeli do tak zwanych wyższych sfer. Bóg raczy wiedzieć, co mu zrobią, jeśli im podpadnie. Miał

przerażające uczucie, że pułapka, w którą wpadł, właśnie się zatrzaskuje. Leo miała rację. Skłonność do hazardu, kolejna cecha odziedziczona po Carlu - czy w ogóle odziedziczył po nim coś dobrego? - wtrąciła go w przerażającą spiralę rosnącego zagrożenia. Jedyna nadzieja w wyścigach i niesamowitym dwulatku ze stajni starego Rupe'a - to niemal pewniak. Postawi na niego parę tysięcy, które zachomikował na czarną godzinę.

Robbie odpędził dręczące go czarne myśli charakterystycznym machnięciem ręki i zaczął pogwizdywać znaną melodyjkę, by dodać sobie animuszu.

TLR

ROZDZIAŁ DRUGI

Następnej soboty Leona zdecydowała się wyjechać trochę później niż reszta Blanchardów. Była bardzo przejęta myślą o zobaczeniu znów pięknej starej posiadłości - uwielbiała ten dom, wspaniałe ogrody i rozciągający się wokół park, który zdawał się nie mieć końca. Z drugiej strony lękała się spotkania z Boydem. Wydawało jej się, że nie widzieli się już całe wieki. W rzeczywistości minął tylko miesiąc. Boyd spędził go, podróżując po świecie w interesach. Odkąd Rupert przekroczył sześćdziesiątkę, coraz częściej zdawał się w sprawach biznesowych na swojego syna i dziedzica, a sam spędzał czas w Brooklands. W rezultacie coraz więcej władzy i odpowiedzialności spadało na barki Boyda.

Boyd świetnie się do tego nadawał. Był wychowywany jak następca tronu, od dzieciństwa przygotowywany do zarządzania imperium Blanchardów. Niewątpliwie nie tylko odziedziczył po ojcu nieprzeciętny talent do robienia interesów, ale jeszcze go rozwinął. Nie było też obaw, że mógłby zająć się wydawaniem nagromadzonego majątku, zamiast niekończącą się ciężką pracą, i wybrać życie bez zobowiązań, zamiast zmierzania się z odpowiedzialnością.

Próżniacza egzystencja go nie pociągała. Dziadek Boyda zapisał wnukowi pokaźny fundusz powierniczy. Gdyby tylko chciał, mógł zrealizować każdą swoją fanaberię. Był wystarczająco mądry, by osiągnąć sukces w każdej wybranej przez siebie dziedzinie. Jednak Boyd już od szkoły średniej udowadniał, że trudno znaleźć lepszego następcę dla Ruperta Blancharda. Ku zadowoleniu całej rodziny postanowił pójść w ślady przodków i zarządzać koncernem.

Determinacja i błyskotliwa inteligencja, oto kapitał, który Boyd wnosi do każdego swojego przedsięwzięcia, pomyślała Leona, wpatrując się w drogę przed samochodem. Boyd jest człowiekiem większego kalibru niż Rupert. Przerasta ojca pod każdym względem. Ma prawdziwą klasę, którą odziedziczył po Aleksie, razem z jej oszalamiająco szafirowymi oczami. Skończył zaledwie trzydzieści lat, a już należy do najbardziej wpływowych biznesmenów i jest na prostej drodze, by przyćmić osiągnięcia nie tylko własnego ojca, ale i twórców rodzinnego imperium. Boyd potrafił budzić w swoim otoczeniu

autentyczny szacunek, sympatię, nawet miłość, podczas gdy Rupert onieśmielał i zastraszał.

Jakie to dziwne, że Blanchard senior z całej rodziny upodobał sobie właśnie ją, Leonę. Jeden jedyny raz w życiu widziała go, jak płakał - było to na pogrzebie jej matki. A przecież w czasie ceremonii pogrzebowej własnej żony zachował kamienną twarz. Dziwne, bardzo dziwne. Alexa była najbliższą przyjaciółką jej matki. Zawsze nienaganie opanowana, po jej śmierci zalewała się łzami. Leona zapamiętała ten widok, choć była wtedy przerażoną i zrozpaczoną małą dziewczynką.

Serena, jej matka, świetnie jeździła konno. Skręciła sobie kark, gdy spadła z konia przy skoku przez kamienny mur na terenie posiadłości Brooklands, w pobliżu jeziora. Dziesiątki razy pokonywała ten murek. Tym razem koń przekoziółkował, zrzucając amazonkę. Później się okazało, że zahaczył podkwa o bluszcz pnący się po kamieniach.

Minęło szesnaście lat, pomyślała Leona ze smutkiem. Szesnaście lat bez matki. Wciąż pamiętała, jak pochyliła się nad nią i pocałowała ją, zanim wyszła na swoją ostatnią przejażdżkę.

- Nie będę długo, skarbie. Wrócę i wszyscy pójdziemy popływać...

Serena nie wiedziała, bo i skąd, że już nie wróci.

Cała rodzina ciężko przeżyła jej śmierć. Pograżonym w żałobie po Serenie krewnym nie zostało wiele ciepłych uczuć dla Delii, jej następczyni, drugiej żony ojca. Rodzina uważała, że nikt nie jest godny, by zastąpić Serenę. A już szczególnie nie Delia, która „zastawiła sidła” na nieutulonego w żalu wdowca i uwiodła go, bez skrępowań wnosząc mu w posagu dzikiego dzieciaka. Może dlatego wszyscy demonstracyjnie okazywali Leonie, że jest jedną z nich. Nie należała do głównej odnogi rodu, jednak była żywym portretem swej matki i to dawało jej specjalne prawa.

Żelazne wrota były szeroko otwarte. Przed nią ciągnęła się długa na milę prywatna droga, prowadząca prosto na podjazd przed domem. Z obu stron stały potężne drzewa, a ich splecione gałęzie tworzyły nad drogą zielony tunel.

Zaledwie parę minut później znalazła się na kamiennym moście spinającym dwa brzegi zatoczki należącej do intensywnie zielonego jeziora. Zasilała je jakaś podziemna rzeka i w niektórych miejscach było naprawdę głębokie. Miało powierzchnię blisko

trzech akrów. Tu i ówdzie znajdowały się na nim małe wysepki - siedlisko dzikich kaczek i innego wodnego ptactwa. Pod mostem przepływało stadko czarnych łabędzi, mącąc przejrzystą zieloną wodę, na powierzchni której igrały srebrne połyski. Brzegi jeziora obrośnięte były białymi kaliami, fioletowymi japońskimi liliami i całym bogactwem wodnych roślin.

W oddali widać było dom. Zbudowany w stylu klasycznej brytyjskiej wiejskiej rezydencji, obrósł w ciągu wielu lat w różne dobudówki, tworzące harmonijną całość z główną budowlą.

Przed wejściem rozciągał się świetnie utrzymany trawnik i klomby z kwiatami. Z tyłu znajdowały się naturalne wzgórza i wąwozy, szemrały strumyczki i tryskały spod ziemi magiczne źródelka. Kiedy Leona była dzieckiem, policzyła pokoje. Trzydzieści dwa, w tym wielka sala balowa, w której odbywały się przyjęcia rodzinne i imprezy dobroczynne. Doroczne przyjęcia, które Alexa wydawała w ogrodach posiadłości, cieszyły się zasłużoną sławą i były jednym z najważniejszych wydarzeń sezonu. Jinty nawet nie próbowała naśladować swojej poprzedniczki.

Nikt nie może równać się z Alexą, pomyślała Leona. To tragedia, że umarła w kwiecie wieku. Często się zastanawiała, czy Alexa zaznała szczęścia w małżeństwie, ale w rodzinie nie rozmawiało się o takich sprawach. Na użytek publiczny Rupert i Alexa byli wzorową parą. Leona już jako dojrzewająca dziewczyna zaczęła mieć wątpliwości. Wyczuwała jakiś dystans między nimi. Żyli osobno, a Alexa najwyraźniej starała się zrobić dobry użytek ze swego małżeństwa, troszcząc się o syna, wykorzystując liczne talenty do prowadzenia wielkiego domu i działania na rzecz akcji i towarzystw charytatywnych, które wspierała.

Jeśli kobieta piękna i szlachetna nie mogła żyć długo i szczęśliwie, należy sobie odpuścić romantyczne ideały, myślała Leona. Małżeństwo stanowi zbyt wielkie ryzyko.

Po prawej stronie znajdowały się trzy ogromne boiska do gry w polo, każde wielkości dziesięciu boisk do gry w piłkę nożną. Ich granice były obsadzone miejscowymi i egzotycznymi drzewami. Wiele zakątków tej posiadłości przypominało ogród botaniczny pod gołym niebem.

Było to dzieło światowej sławy ogrodnika i projektanta ogrodów, którego sprowadzili prapradziadkowie Boyda, by stworzył im wokół domu namiastkę Edenu. Kilkadziesiąt lat później Rupert sprowadził kolejnego projektanta zieleni, gdy postanowił stworzyć przy domu boiska do gry w polo. Był z niego swego czasu diabelnie dobry zawodnik. Teraz przekazał pałeczkę Boydowi, który zwykł mawiać, że ten niebezpieczny urazowy sport jest jego ulubioną formą relaksu.

W niedzielę po południu miał się odbyć mecz z przyjezdną drużyną. Polo jest brutalną grą, choć szczególnie atrakcyjną dla miłośników hippiki. Chociaż Boyd był świetnym graczem, to gdy Leona obserwowała go na boisku, modliła się tylko, by mu się nic nie stało.

Na samą myśl o kuzynie poczuła przyspieszone bicie serca. Miała nadzieję, że te pensjonarskie reakcje nie zepsują jej weekendu.

Boyd. Do diabła. Jego imię przyprawia ją o zawrót głowy. Tego nie chciała. To nie w porządku. Siła własnych uczuć ją przeraziła. Czy ktokolwiek z otoczenia zauważy jej sztuczne zachowanie? Może Robbie. Ale Robbie jako jedyny potrafi przejrzeć ją na wylot.

Ma dwadzieścia cztery lata. Najwyższy czas uporać się z dziecinnym afektem. Dać szansę innym mężczyznom. Miała wielu adoratorów - niewątpliwie nazwisko Blanchard stanowiło dodatkowy wabik. Jednak nie była dziedziczką rodzowego majątku. Należała do bocznej linii. Robotnica w ulu, nie królowa. Przerazało ją, że jest niewolnicą własnych uczuć. W pewnym sensie jej fascynacja Boydem była takim samym uzależnieniem, jak gry hazardowe Robbiego.

Ciekawe, czy Boyd nadal się spotyka z Ally McNair. To czarująca dziewczyna. Przed nią była Zoe Renshaw. Jemma Stirling. No i Holly Campbell. Tej ostatniej nie lubiła. Co za snobka. Ach, jeszcze Chloe Compton, dziedziczka innej rodowej fortuny, faworytka Ruperta.

Wszyscy w rodzinie lubili Chloe. Leona też. Rupert wychodził ze skóry, by ją zachęcić. Wokół Boyda cały czas kręciły się piękne i majątne panny. Niektóre, jak Ally i Chloe, regularnie były zapraszane na rodzinne uroczystości, jednak Boyd nie spieszył się z deklaracjami i cały czas poświęcał pracy. Modelowy pracoholik.

Pod tym względem Leona była do niego podobna. Nawet jej szefowa robiła na ten temat komentarze. Bea nie zatrudniła jej dla pięknych oczu i nazwiska. Leona dostała etat dzięki swoim kompetencjom i ciężkiej pracy. Chociaż wielu ludzi związanych z modą dałoby się pokrajać w kawałki za podobną szansę, to jednak Bea była powszechnie uważana za osobę o bardzo trudnym charakterze. Trzymała ludzi na dystans i czasem sprawiała wrażenie chodzącej góry lodowej - co nie zmniejszało szacunku i sympatii, jakimi Leona darzyła swą zwierzchniczkę. W świecie mody była niepowstrzymaną siłą, kreującą nowe trendy. Dla młodej asystentki stała się guru. Leona była przekonana, że kiedyś - po latach - zajmie w tym środowisku miejsce Bei.

Jinty powitała ją z teatralną afektacją i dużą dozą nieszczerości.

- Jak miło, że przyjechałaś - zagruchała. - Świetna kreacja. - Duże niebieskie oczy podobne do oczu porcelanowej lalki zmierzyły ją od stóp do głów. - Widać, że moda nie ma dla ciebie tajemnic. Oczywiście, na osobie z taką figurą wszystko świetnie leży. Co ja bym dała, żeby być tak chuda jak ty!

- Zrezygnuj z szampana - zażartowała Leona.

Świetnie wiedziała, że nie można brać komplementów Jinty za dobrą monetę. Ta seksowna kobietka z dużym biustem traktowała życie jak wielką scenę i nawet w małżeństwie odgrywała wymyśloną rolę. I rzeczywiście, chwilę później Jinty straciła całe zainteresowanie dla jej osoby i zwróciła się w kierunku drzwi, promiennie uśmiechnięta. Leona domyśliła się, że to oznacza przybycie Boyda, rodzinnej gwiazdy pierwszej wielkości. Widocznie wyjechał z Sydney wkrótce po niej.

Wbiegła na pierwsze piętro i skierowała się do pokoju, który jej zazwyczaj przydzielano. Miał własną łazienkę i oddzielny salonik. Dawniej uwielbiała tu być. Teraz przeszkadzał jej wystrój odzwierciedlający gust nowej pani domu. Na szczęście Rupert nie pozwolił na żadne zmiany na parterze, w pięknym przestronnym salonie i bibliotece. Dał za to drugiej żonie wolną rękę w pokojach gościnnych.

Zdaniem całej rodziny, Jinty zabrała się za urządzenie pierwszego piętra jak kobieta opętana misją. Powstał niewyobrażalny chaos, podsycany dostępem do nieograniczonych funduszy. W rezultacie udało jej się zniszczyć dawną elegancję i komfort tej wiejskiej rezydencji. Na każdym kroku królował przepych. Najlepszym przykładem es-

tetycznych upodobań Jinty była dawna sypialnia Leony urządzona w stylu późnego baroku - z nadmiarem złocień, ornamentów, bibelotów, adamaszku i aksamitu. Leo miała wrażenie, że lada chwila w okrągłym lustrze o ciężkich złoconych ramach ukaże się Maria Antonina. Brak gustu był nadrabiany ostentacyjnym bogactwem dekoracji. Jinty lubiła wydawać pieniądze.

Rozległo się pukanie i w drzwiach stanął Hadley, czyli Eddie. Zarządzał służbą, odkąd pamiętała. Był łagodnym miłym człowiekiem o łapach jak bochny chleba i z bujną czupryną siwiejących włosów.

- Gdzie postawić bagaże, panienko Leo? - Trzymał jej walizkę i torbę.

- Za łóżkiem, dziękuję. U ciebie wszystko w porządku, Eddie?

- Czasem dokucza mi lumbago, ale poza tym nie mogę się skarżyć. Tak jest, gdy człowiek przekroczy sześćdziesiątkę.

- Nie wyglądasz na swoje lata - stwierdziła z przekonaniem. - Czy to Boyd właśnie przyjechał?

- On, a jakże! - przytaknął i dodał poufnie: - Panicz Boyd to wielki faworyt swojej macochy. A także jej siostry, pani Tonyi.

- Tonya tu jest? - Leona spojrzała na niego z osłupieniem.

- Najwyraźniej ktoś uznał, że to będzie świetny pomysł - mruknął Eddie.

Tonya szarogęsiła się, źle traktowała służbę i była generalnie bardzo nie lubiana w Brooklands.

To nie mógł być pomysł Boyda, pomyślała Leona. Kiedyś przypadkowo usłyszała, jak po szczególnie burzliwym rodzinnym spotkaniu Boyd zarzucił ojcu, że zwarzona atmosfera jest winą złośliwego języczka jego szwagierki i zażądał, by opuściła ich dom. Tonya była urodzoną intrygantką, złośliwą jędzą, która nie przepuściła żadnej okazji do szerzenia fałszywych plotek. Uważała, że należą jej się szczególne przywileje jako siostrze pani domu i traktowała służbę jak ludzi niższej kategorii. Nie kryła też, że bardzo jej się podoba Boyd, a nawet roiła sobie, że ma szansę go poderwać. Na szczęście Jinty jej do tego nie zachęcała; w gruncie rzeczy nie przepadała za towarzystwem siostry.

A więc kto zaprosił Tonyę? Niemilo było pomyśleć, że może zrobił to Rupert. W jakiś pokręcony sposób chciał dowieść synowi, kto tu rządzi i do kogo należy ostatnie

słowo. Uwielbiał swego jedynaka, był z niego dumny, a jednocześnie relacja między nimi była niejednoznaczna i pełna ukrytych animozji. Leona uważała, że stoi między nimi zmarła Alexa - no i oczywiście nieprzeciętne zdolności Boyda. Rupert nie mógł pohamować swojego wrodzonego pędu do rywalizacji i podświadomie był zazdrosny o błyskotliwą karierę syna. W przeciwieństwie do niego, miał nienormalnie wielkie ego. Ambicja go zżerała.

Lunch podano w mniejszej jadalni, z przeszkloną ścianą, dającą wspaniały widok na ogrody za domem. Człowiek miał wrażenie, że jest na tarasie. Wielki pokój udekorowany był rycinami o tematyce roślinnej. Zamiast jednego wielkiego stołu stały tam szklane okrągłe stoliki na grubych nogach z egzotycznego drewna rzeźbionego na Filipinach, przy których mieściło się po osiem lekkich rattanowych foteli. To oczywiście był jeden z pomysłów Alexy.

Leona, która zjadła wczesnym rankiem tylko jogurt i owoce, poczuła się nagle straszliwie głodna. Była w tym szczęśliwym wieku, kiedy można zjeść konia z kopytami i nie przybrać za wadze ani grama, jednak pilnowała zdrowej diety i jedyną ekstrawagancją, na jaką sobie czasem pozwalała, była gorzka czekolada. Wydzielała ją sobie w małych porcjach i była na dobrej drodze, by spełnić noworoczne postanowienie, że ograniczy się do jednego kawałka tej niebiańskiej słodyczy dziennie.

W jadalni zastała już dziesięcioro członków rodziny; zdążyli nałożyć sobie ulubione dania z obfitego szwedzkiego stołu. Mogłyby się przy nim pożywić całe tłumy. Kuchnia w Brooklands mogła śmiało rywalizować z najlepszymi restauracjami w Sydney pod względem jakości potraw. Leona natychmiast poczuła wyrzuty sumienia ze względu na miliony głodujących na całym świecie. Pocieszało ją tylko, że jedzenie się nie zmarnuje, bo wszystko, co zostawało, trafiało na stół dla personelu. Był to jeden z atutów pracy w takiej posiadłości.

- Witaj, Leo. Miło cię widzieć - słyszała zewsząd.

Dobrze jej było wśród ludzi, którzy autentycznie cieszyli się na jej widok i których ona spotykała z uczuciem przyjemności.

Geraldine, która była prawdziwą ikoną świata mody, choć miała mocno ekscentryczny gust, wystąpiła tym razem w szokująco czerwonym kapeluszu z wysokim denkiem. Poderwała się od stołu i szła w kierunku Leony z wyciągniętymi ramionami.

- Wyglądasz prześlicznie, kochanie! - Wymieniły pocałunki, na szczęście tym razem szczere. Starsza kobieta przyjrzała jej się uważnie. - Coraz bardziej przypominasz matkę. Usiądź przy mnie. Musisz mi zrelacjonować wszystko, co się ostatnio u ciebie działo.

- Daj mi chwilkę, ciociu Gerri. Coś sobie nałożę.

- Jesteś strasznie chuda, Leono. Czy nie masz przypadkiem anoreksji? - usłyszała za plecami.

- Zamknij się, Tonyu. - Geraldine potrafiła być równie szorstka, jak jej brat.

- Na miłość boską - zaczęła protestować Tonya, ale w tym momencie w pomieszczeniu zapadła cisza.

Oczy wszystkich zwróciły się na wchodzącego.

Boyd. Mężczyzna, który z łatwością może złamać serce każdej dziewczyny.

Moja miłość. Te słowa wyskoczyły gdzieś z głębi jej mózgu. Nie mogła zmienić swoich uczuć. Mogła tylko zadbać o to, by ich nie ujawnić. Nie wobec Boyda, który wydawał jej się taki niedostępny. Szczególnie nie wobec Ruperta, który miał własne plany wobec swego sukcesora. Nie ma szansy na to, by jej miłość została odwzajemniona, więc lepiej, serce, milcz.

Nie mogła się jednak powstrzymać, by na niego nie popatrzeć. Miał prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu, szczupłą i wysportowaną sylwetkę. Naturalna opalenizna była wynikiem godzin spędzonych na żeglowaniu po Sydney Harbour. Gęste czarne włosy odgarnięte do tyłu, wyraziste kości policzkowe - przy tej fizjonomii będzie świetnie wyglądał na starość. No i oczy, magnetyczne, intensywnie niebieskie, jak najpiękniejsze szafiry w klejnotach koronnych. Te oczy odziedziczone po matce wyróżniały go z tłumu.

Boyd nie zauważył wrażenia, jakie wywarło jego wejście, choć dla postronnego widza oczywiste było, że oto pojawił się książę, którego wita z uwielbieniem jego wierny lud. Leona poczuła przyływ buntu. Nie dołączyła do adoratorów. Nastroszyła się cała. Od

lat żyła w takim rozdarciu. Głęboko w duszy tęskniła za jego widokiem jak za słonecznym światłem. Na zewnątrz była opancerzona, ironiczna, zdystansowana.

- Witam wszystkich. - Pozdrowił ich uniesieniem ręki.

- Świetnie, że jesteś. Miło cię widzieć. Nie możemy się doczekać jutrzejszej gry - odezwał się chór powitań.

Tonya wykorzystała tę chwilę, by zaznaczyć swoje prawa w tym domu. Położyła mu rękę na ramieniu. Drobna atrakcyjna blondynka nawet w wysokich szpilkach wyglądała przy Boydzie jak laleczka.

- Bezczelna dziewczucha - mruknęła Geraldine. - Czy do niej nie dociera, że on jej nie trawi?

- Kto ją właściwie zaprosił?

- Mój brat, naturalnie. Wszędzie wściubia nos, choć przecież wszyscy wiemy, kto jest właściwą dziewczyną dla Boyda.

- Chloe Compton? - spytała Leona przez ściśnięte gardło.

- Na miłość boską, oczywiście, że nie - obruszyła się Geraldine. - Weź sobie lunch, moja droga i przyjdź do mnie. Twój brat przyrodni dojedzie?

- Został zaproszony, ciociu. I jest w drużynie Boyda.

- Dobrze już, dobrze. Jak zawsze lojalna. Ale nie myśl, że tego nie doceniam. Lubię go nawet, choć niezły z niego nicpoń. Ten drań, jego ojciec, też miał dużo wdzięku.

I oto Boyd znalazł się tuż przy niej.

- Co u ciebie, Kwiatuszku?

Znajomy ucisk w piersiach. Pulsowanie krwi w skroniach. Niezależnie od tego, jak bardzo się uzbroiła na to spotkanie, jego głos rzucał na nią urok. Czasem było to użycie pieszczotliwego przydomka z dzieciństwa. Przenikał ją dreszcz podniecenia, jakby ktoś przejechał piórkiem po jej gołym ciele.

Siłą woli opanowała drżenie. Nie miała odwagi dłużej patrzeć mu w twarz. Była zbyt spięta, by się uśmiechnąć. Wpatrywała się więc w materiał jego koszuli, białej w niebieskie paseczki. Długi rękaw niedbale zawinięty do łokcia. Emanacja męskości. Znała wielu przystojnych młodych mężczyzn, a choć wychodzili ze skóry, by zdobyć jej względy, przy Boydzie sprawiali wrażenie uczniaków.

- Jeśli ci się nie podoba ta koszula, zmienię ją.
- Jest ładna. Helmut Lang, prawda?
- Wierzę ci na słowo. To ty jesteś ekspertem w sprawach mody.
- Czy to nie ciebie magazyn „Ikona” uznał za najlepiej ubranego mężczyznę w kraju?

- Nic ci nie umknie - skomentował z fałszywym zadziwieniem.
- Jak podróż? Odniosłeś sukces?
- Pod wieloma względami. - Spoważniał. - Podpisaliśmy parę umów, innych nie udało się sfinalizować. Blanchards ma dużą siłę przebicia, ale niczego nie można być pewnym. To niebezpieczny świat, Leo. Coraz bardziej nieprzewidywalny.

- Oglądam wiadomości. Wszędzie terror i cierpienie. - Nie chciała się przyznać, jak bardzo się denerwuje, gdy interesy wymagają od niego wizyt zagranicznych, a szczególnie podróży transoceanicznych.

- Co ci podać? - spytał, wpatrując się w jej włosy, które w słonecznym świetle wyglądały jak żywy płomień.

- Wezmę to samo co ty - burknęła.

Opryskliwość była kolejnym mechanizmem obronnym, który włączała, próbując stworzyć dystans między nimi. Porozumienie przychodziło im bez wysiłku, niemal automatycznie. Tyle rzeczy ich łączyło. Oboje kochali konie i wiejskie życie. Lubili tę samą muzykę, jedli takie same potrawy, czytali te same książki i oglądali te same filmy. Nawet ludzi oceniali podobnie. Oboje mieli ogromny sentyment do Brooklands, realizowali się w swojej pracy i odnosili sukcesy zawodowe.

- Możesz się zdać na mnie. - Zaśmiał się. - Idź do Gerri i zajmij mi miejsce obok siebie.

- Zdaje się, że Tonya daje ci znaki - zwróciła jego uwagę na kobietę, która z drugiego końca pokoju, zza grup śmiejących się i rozmawiających ludzi, wymachiwała do nich energicznie. Brakowało tylko, by zaczęła walić łyżką w stół, aby zwrócić na siebie uwagę.

- Ta nigdy nie daje za wygraną - mruknął niezadowolony, ostentacyjnie ignorując natręctwo siostry swej macochy. - Jak ja lubię tę zabawę w jedną wielką szczęśliwą rodzinę. Idź, Leo. Zrób, o co proszę. Mam za mało okazji, żeby się na ciebie napatrzeć.

- To rozkaz? - spytała zaczepnie.

Nie podjął rękawicy, zaśmiał się, co ją zirytowało.

- Wiesz, Kwiatuszku, osiągnęłaś perfekcję w sztuce prowadzenia ze mną słownych pojedynków.

- Może jestem urodzoną buntowniczką.

- Przy twoich wspaniałych rudych włosach jak mogłabyś nie mieć wojowniczej natury? - Wziął dwa talerze i ruszył do bufetu. - A przy okazji, wybierzesz się ze mną na konną przejażdżkę po południu?

Oferta była niespodziewana. Stała jak wryta.

- No więc? - Boyd nie odrywał od niej wzroku.

Widział przed sobą subtelną i piękną młodą kobietę w niezwykle eleganckiej powiewnej jedwabnej sukni - wyglądała niewinnie, dziewiczo, a przy tym nadzwyczaj zmysłowo - i zupełnie nie była świadoma, jakie wywiera na nim wrażenie. Patrzyła szeroko rozwartymi oczami, jakby nagle zabrakło jej słów.

- Muszę sprawdzić, gdzie jest Robbie - wykrztusiła w końcu. - Jeszcze nie przyjechał.

- Ile on właściwie ma lat?

- To nieistotne. Nadal jest moim młodszym bratem.

- Czas, żeby stanął na własnych nogach - odrzekł ostro. - Za długo mu matkujesz.

- Nie lubisz go? - spytała żałośnie.

Pochyliła się w jego kierunku, lekceważąc ciekawskie spojrzenia innych ludzi, zwłaszcza Tonyi.

- Wykorzystuje cię - rzekł Boyd cicho, lecz z naciskiem. - To mi się nie podoba. Świetnie wiem, że cię kocha, ale masz do niego słabość i to przyćmiewa twój zdrowy rozsądek. Porozmawiam sobie z nim dziś lub jutro.

Z wysiłkiem przełknęła ślinę. Co takiego Robbie znowu zmalował?

- Proszę, nie bądź dla niego zbyt surowy - jęknęła.

Te słowa wymknęły się, zanim do niej dotarło, że potwierdza w ten sposób jego podejrzenia.

- Chyba nie możesz mnie oskarżyć o to, że kiedykolwiek potraktowałem go niesprawiedliwie? - Starał się o surowy ton, by nie ulec jej błagalnemu spojrzeniu. Najwyższy czas przywołać Robbiego do porządku, zanim chłopak zejdzie na złą drogę. Ostatnio mu doniesiono, że zadłużył się po uszy, grając na wyścigach i przepuszczając pieniądze w kasynie. Wszedł w jakieś niejasne konszachty z bardzo podejrzanym towarzystwem, o którym mówiono, że zajmuje się praniem pieniędzy dla świata przestępczego. Trzeba to przeciąć. - Pomyślałem, że przejedziemy się do Mount Garnet - zaproponował szybko, zmieniając temat. - Masz strój do konnej jazdy? - Jeśli nawet nie, to na pewno przechowuje zapasowy w rezydencji.

Leo zastanawiała się gorączkowo, co właściwie Boyd wie o Robbiem. Hazard? Na pewno. Narkotyki? Coś jeszcze? Jej brat jest słodkim chłopcem, przynajmniej wobec niej, ale ma słabą wolę. A Boyd niczego nie przegapi.

- Cała drżysz. - Położył jej rękę na ramieniu.

Zrobiło jej się gorąco. Miała wrażenie, że za chwilę rozplynie się u jego stóp.

- Pojadę z tobą konno. Próbowałam sobie właśnie przypomnieć, kiedy nam się to zdarzyło ostatni raz - wykrztusiła wreszcie.

Miała tylko nadzieję, że nie oblała się krwistym rumieńcem. Oboje zostali wsadzeni na koński grzbiet, zanim jeszcze zaczęli chodzić. Oboje byli świetnymi jeźdźcami. Boyd mógłby zrobić karierę, grając w polo. Jednak nie była w stanie sobie przypomnieć, kiedy ostatnio jechali strzemię w strzemię.

Zaśmiał się takim niefrasobliwym, szczęśliwym śmiechem.

Kochała jego głos i sposób, w jaki się śmiał! A jednocześnie w jego towarzystwie wpadała w panikę. Nogi się pod nią uginały. Wystarczyło, że wymówił jej imię.

- Dziwię się, że nie pamiętasz. Powiedziałaś mi wtedy, że mnie nienawidzisz, a ja nie byłem w stanie cię udobruchać.

Czy nie rozumiał, że w ten sposób zareagowała na siłę, z jaką ją przyciągał? Była jak dzikie zwierzę, szarpała się na uwięzi. I znowu zmusiła się do spokojnej rozmowy.

- Wiesz, że to nieprawda. Czasami w twoim towarzystwie czuję się nieswojo i reaguję nieracjonalnie. Ty zresztą też. Nie jestem głupia i zauważam takie rzeczy.

Przecież nie może mu wyznać: Jesteś moim księżycem i gwiazdami. Rozpływam się, gdy mnie dotykasz.

Dlaczego Boyd jest jedynym człowiekiem na świecie, który budzi w niej wszystkie zmysły?

- Wiem, że przy mnie wibrujesz od emocji, folgujesz swojemu temperamentowi, buntujesz się, nazwij to, jak ci się podoba. Pamiętam, kiedy to się zaczęło. Miałaś wtedy szesnaście lat. Wcześniej byłaś naprawdę słodka.

Byłam twoją małą niewolnicą.

- To się nazywa: dorastanie - odparowała. - Odnajdowanie własnej tożsamości. Czasem doprowadzasz mnie do szału. Jesteś taki...

- Jaki?

- Dominujący - wyjaśniła z ogniem w oczach. - Rodzinne bożyszcze, przed którym wszyscy padają na kolana. Kpisz sobie ze mnie, jakbym była...

- Nonsens - przerwał jej. - Nie wykręcaj się od odpowiedzi. Zbywasz mnie półprawdami. Unikasz mnie. To mnie martwi. To nie mój autorytet wywołuje w tobie złość. Coś innego. A jeśli chodzi o kpiny, jest na odwrót. To ty szydzisz ze mnie, drażnisz się ze mną. Nawet teraz.

- Boyd, wszyscy na nas patrzą - szepnęła ostrzegawczo. - Robimy scenę na środku jadalni.

- Mieli czas przywyknąć do tego, że nieustannie drzemy koty. - Lekceważąco machnął ręką.

- Wcale się nie wymiguję. Czy nie zgodziłam się właśnie na przejażdżkę w twoim towarzystwie? Nie zmieniłeś chyba zdania? A może chcesz zaprosić większe towarzystwo?

- Sami we dwójkę - odparł zdecydowanie. - Tylko ty i ja. Nie chcę, żeby reszta rodziny ciągnęła się za nami.

- W porządku! - Energicznie zadarła podbródek, gotowa w każdej chwili odmaszerować.

- Kiedyś mnie kochałaś - powiedział cicho.

Zamarła jak żona Lota. Nawet nie wiedział, że trafił w samo sedno.

Odwróciła się. Wspięła na palce. Miała ochotę rzucić mu ręce na szyję, zatonać w jego ramionach. Gdyby ją pocałował, chybaby zemdląła. A może straciłaby dla niego duszę. Spojrzała prosto w tę jedyną na świecie i tak niebezpieczną twarz.

- Już cię nie Kocham - powiedziała.

Oszustwo jest bezpieczne. Lepiej być bezpiecznym, niż mieć złamane serce.

Po godzinnej przejażdżce przez łąki i zagajniki, które nigdy nie wydawały jej się aż tak rozświetlone słońcem jak dzisiaj, przystanęli w cieniu drzew rosnących przy jednym z wielu strumyków przecinających posiadłość.

- Jak ci się podoba?

- Jest cudownie - odparła z entuzjazmem. - Kocham wodę. Wszędzie, gdzie jechaliśmy, było ją widać i słysać.

- Oto jeden z uroków Brooklands - odparł ze szczerym uśmiechem. - Jak to się dzieje, że gdy siedzisz na koniu, nie przyjmujesz wobec mnie tej obronnej postawy?

- Jestem bezpieczna, bo w każdej chwili mogę zmusić konia do galopu. - Poklepała po szyi piękną klacz czystej arabskiej krwi. Lubiała na niej jeździć. Była szybka i miała pewny chód. - Prawdę mówiąc, nigdy nie próbowałeś mnie zastraszyć.

- Boję się, że mogłem to zrobić mimo woli.

Poruszył ją smutek w jego głosie.

- Mówisz tak, jakbyś się o mnie troszczył.

- Chyba w to nie wątpisz - odparł trochę zachrypniętym głosem.

- To dobrze. Przynajmniej ja nie podporządkuję ci się we wszystkim.

- Uważasz mnie za despotę?

- Onieśmielasz ludzi. Boją się ci sprzeciwić.

- Leo, to absolutny nonsens - zaprotestował. - Niby w jaki sposób to robię?

- Swoim sposobem bycia. Nie masz na to wpływu. Po prostu wywierasz na ludziach taki efekt.

- Może to rodzaj obrony przez atak? - zasugerował.

Zdała sobie sprawę, że mówi absolutnie szczerze, jakby uświadomił sobie teraz jakiś kłopotliwy aspekt swojej osobowości.

- Kiedy mama zginęła, myślałam, że nigdy już nie wsiądę na kucyka. To ty zmusiłeś mnie, żebym się uporała ze swoimi lękami. Miałeś dla mnie czas i uwagę, których nie dał mi rodzony ojciec. On zachowywał się tak, jakby na ziemi był obecny tylko ciałem, a jego dusza błądziła gdzieś daleko. Ty przekonałeś mnie, że moja matka nie chciałaby, żebym rezygnowała z czegoś, co przynosi tyle radości. Ona uwielbiała konie. Nauczyłeś mnie, że choć wszędzie czają się niebezpieczeństwa, musimy żyć jak najpełniej, nie rezygnując z niczego, co nadaje życiu smak.

- Więc do czegoś ci się przydałem. Byłem dla ciebie ważny - zauważył.

- Nadal jesteś dla mnie ważny - podkreśliła, nagle uświadamiając sobie, że są sami.

W ciszy, jaka zapadła, miała wrażenie głębokiego porozumienia bez słów, niemal telepatycznej łączności. Oczy jej się zaszklily. Boyd rozumiał ją lepiej niż ktokolwiek. Gdyby mogli być ze sobą w ten sposób, byłby to związek idealny. Wiedziała w głębi serca, że to niemożliwe. Właśnie dlatego kryła się ze swoimi pragnieniami. W tej chwili odezwały się wszystkie dzwonki alarmowe.

Jak łatwo byłoby dać się ponieść chwili! Ale sen trwałby krótko. Boyd jest tak samo nieosiągalny jak księżę Walii.

- Ścigasz się? - rzuciła mu wyzwanie. - Do starych ruin.

Stare ruiny były w istocie niezwykłą formacją skalną w bardziej dzikiej części posiadłości.

- Kwiatuśku, wiesz, że nie masz ze mną szans?

- Więc przynajmniej postaram się, żebyś musiał walczyć o zwycięstwo.

Nawróciła klacz i zmusiła ją do biegu. Wkrótce pokonały strome zbocze, tylko spłoszone sroki wrzeszczały za nimi gniewnie, a stadko dzikich gołębi wzbiło się w niebo.

Dał jej fory. Była tego pewna. Czy nagła galopada nie zdradza jej emocjonalnego tchórzostwa? Jednak szaleńczy pęd wydawał jej się bezpieczniejszy niż intymna rozmowa z Boydem. Skąd się wziął ten brak pewności siebie? Wczesne sieroctwo? Pod wieloma względami, tracąc matkę, straciła także ojca. Pograżyła się we własnej żałobie. Delia

nie mogła być substytutem mamy. Nie umiała kochać rodzzonego dziecka, cóż dopiero pasierbicy.

Po lewej minęła kępę topoli, których liście tak cudownie złociły się jesienią, po prawej chińskie wiązy pokryte delikatnymi jasnozielonymi skrzydlakami. W oddali cały las eukaliptusów w ich naturalnym królestwie. Płynęła między nimi w powietrzu. Czy ktokolwiek, kto nigdy nie siedział na końskim grzbiecie, może pojąć, jak cudownych uczuć doznaje jeździec w galopie?

Pojechała skrótem. Na jej drodze wyrósł stary, częściowo rozwalony murek pokryty bluszczem z charakterystycznymi fioletowymi dzwoneczkami.

Skok wydał się Leonie stosunkowo bezpieczny. Klacz pokonywała dużo wyższe przeszkody, nie potykała się, nie zapierała się w ostatniej chwili. Wprawdzie mama kiedyś przypłaciła podobny skok życiem, ale wszyscy się zgadzali, że nie było to skutkiem jej brawury, lecz nieszczęśliwego splotu okoliczności.

Przesadziła murek pięknym łukiem i wydała przy tym dziki okrzyk triumfu, choć serce jej waliło. Stare ruiny były tuż przed nią. Skały do złudzenia przypominały zwalone kamienne kolumny i mury. Teraz już była pewna zwycięstwa.

Kiedy Boyd zorientował się, że Leona zamierza przeskoczyć murek, serce w nim zamarło. Nie wiedział, że krzyczy, ale usłyszał własne „Nie!”. To było jak podróż w przeszłość, jakieś upiorne *déjà vu*. Ciało Sereny przyniesione do domu na noszach. Twarz matki wykrzywiona w grymasie bólu. Łzy. Półprzytomny ojciec Leony. Jego własny ojciec, który działał jak automat, jak zwykle przejmując inicjatywę.

Otworzył oczy dopiero wtedy, gdy usłyszał triumfalny krzyk Leony. Teraz pędziła co sił do wyznaczonego celu. Przez chwilę przytrzymał wierzchowca, by opanować irracjonalny wybuch gniewu, który stopniowo ustępował miejsca uczuciu niezwyklej ulgi.

- Pokonałam cię! - Wymachiwała radośnie rękami, po czym zerwała toczek z głowy i rzuciła go w powietrze. - Jesteś wściekły? - spytała, gdy zauważyła wreszcie wyraz jego twarzy.

- Dlaczego niepotrzebnie ryzykujesz?

- Dajże spokój. To absurdalny zarzut. Nie zrobiłabym żadnego głupstwa.

- Twoja mama też nie zrobiła głupstwa.

Na chwilę stanęli twarzą w twarz z upiorami z przeszłości, przypominając sobie grozę, rozpacz i łzy. Bezradność dorosłych i swoje pierwsze zetknięcie ze śmiercią. Wczepiła się wówczas w Boyda jak mała małpka, zbyt przerażona, by go puścić.

Usiłowała ratować sytuację, uspokoić jego lęki.

- Mieliliśmy taką cudowną przejażdżkę. Nie psujmy jej.

- Nie psujmy? - Czuł, że traci samokontrolę, co mu się nigdy nie zdarzyło. - Nie powinnaś była skakać przez ten przeklęty murek. Mogłaś sobie skrócić kark!

- Wiedziałam, na co mnie stać. Brałam już wyższe przeszkody.

- Ale nie na tej klaczy.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem i rosnącym gniewem.

- Może nie ma najdłuższych nóg w całej stajni, ale lubię na niej jeździć. Skacze pewnie i bez wahania. Za kogo się uważasz, mówiąc mi, co mogę, a czego mi nie wolno? Nie masz prawa rządzić moim życiem. Nic dziwnego, że walczymy ze sobą jak pies z kotem. Nie cierpię cię!

Nie była przygotowana na ten wybuch. Oczy Boyda rzucały gromy. Z furją przyciągnął ją do siebie, przytrzymując jej ramiona w żelaznym uścisku, a drugą ręką zadart jej podbródek, by mu nie uciekała wzrokiem.

- Zamknij się. Przestań w kółko gadać o swoich krzywdach i pretensjach. Doprowadzasz mnie do szewskiej pasji.

- Byłam ciekawa, kiedy wreszcie się do tego przyznasz - syknęła jadowicie.

Nie miała szansy wygrać tej kłótni. Byli tak blisko siebie, że straciła zdolność logicznego myślenia.

- Puszczaj, ty dzikusie! - Z trudem poznała własny głos.

Boyd dzikusiem? Dlaczego nie mogła po prostu krzyknąć: Kocham cię! Dlaczego zawsze musi zakładać sobie knebel. To nie do zniesienia.

- Masz szczęście, że nie jestem dzikusiem, ale i tak zamierzam dać ci nauczkę. Nie wrywaj się. Byłem dla ciebie zbyt pobłażliwy. Cierpliwie znosiłem twoje zaczepki i złościwości. Kiedy ci się to wreszcie znudzi?

- Nigdy! - wrzasnęła z całych sił, nie zdając sobie sprawy, jak prowokacyjnie się zachowuje.

To przypieczętowało jej los.

W tej chwili gotów był porwać tę kobietę i unieść ją w las jak prymitywny jaskiniowiec. Jego Leona, jedyna osoba zdolna doprowadzić go do szaleństwa. Nachylił się nad nią, dotykając delikatnie wykrojonych pięknych ust.

- Jestem zmęczony tą wieczną walką - mruknął.

Nogi się pod nią ugięły i gdyby jej nie trzymał tak mocno, wyładowałyby na ziemi. Strój jeździecki zamienił się w pajęczynę, gdy poczuła dotyk Boyda. Nigdy w życiu nie doświadczyła tak burzliwych emocji. Jej świat zadrżał w posadach.

- Nie zaciskaj warg. Chcę cię pocałować - powiedział szorstko.

Erotyzm tej chwili był kompletnie dziki, nie do opanowania. Odebrał jej zdolność do oddychania i myślenia.

- Dam ci kolejny powód, żebyś się na mnie wściekała - szepnął i zaczął całować ją, jakby chciał ją wchłonąć w siebie. Jakby konający z pragnienia człowiek w gryzał się w soczysty owoc i nie chciał uronić kropli soku.

Pożądanie zamgliło jej wzrok. Odpowiedziała z równą agresywnością. To było przerażające i cudowne. Niesamowicie zmysłowe i całkowicie naturalne, cielesne i wypełniające duszę po brzegi.

Kiedy ją wreszcie puścił, miała wrażenie, że uszła z niej cała siła. Osunęła się powoli na gęstą żółknącą trawę.

- Nie wierzę, że się na to odważyłeś - szepnęła.

- A jednak to nie sen.

- Było okropnie. - Dziwne, że nie udławiła się tym obrzydliwym kłamstwem.

- Nie kłam, Leo. I tak nie uwierzę.

Dał jej chwilę na przyjście do siebie, wyciągnął rękę i na powrót przyciągnął ją do siebie.

- Muszę kłamać - szepnęła. - Nie rozumiesz? Jesteśmy kuzynami. Rodziną.

Wydał z siebie zdławiony śmiech.

- Bardzo daleką rodziną. Twój dziadek i mąż ciotki mojego ojca byli braćmi.

- Cóż to za różnica? - Nie może skłócić Boyda z ojcem, a przecież wiadomo, że życzeniem Ruperta jest jego małżeństwo z Chloe Compton, dziedziczką wielkiej fortuny.

- Sama przed sobą nie chcesz się przyznać do namiętnej reakcji na mój pocałunek. Wyraźnie czekał na jej odpowiedź, ale nie umiała znaleźć właściwych słów. Była zbita z tropu.

- Wyjaśnijmy jedno, to był gniew, a nie namiętność. - Gniew jest bezpieczny. Często się nim posługiwała.

- Znowu wybierasz ucieczkę. - Tym razem jego głos nabrał gorzkich twardych tonów, a oczy pociemniały.

- A niby przed kim ja uciekam?

- Do diabła, Leo, przecież oboje świetnie wiemy.

Nie było ucieczki przez spojrzeniem Boyda - przenikało ją na wylot, zaglądało w ciemne zakamarki duszy. Zaczęła dygotać na całym ciele.

- Och, na miłość boską! - Zauważył, w jakim jest stanie i nagle złagodniał. Przytulił ją do siebie i kołysał jak dziecko, aż ucichła. - Trzeba cię zabrać do domu - mruknął.

Brzmiało to tak, jakby się poddał, co było do niego całkiem niepodobne. Jednak nadal chronił ją i podtrzymywał. Oto miara prawdziwej czułości. Czułość jest w rodzinie dozwolona.

- Czy ten pocałunek był jakimś rodzajem gry? - Leo pomyślała, że jeśli Boyd przytaknie, ona padnie trupem na miejscu.

- Jeśli chcesz nazwać to grą, myślę, że nie znam jej reguł - stwierdził ponuro.

- Czasem się boję, Boyd - wyznała nagle.

Łatwo byłoby go wielbić. Wszyscy w rodzinie to robili. Romans z nim nie wchodził w rachubę. Stworzyłyby wiele problemów. Mogłaby nawet stracić pracę. Potrzebowała czasu, by pomyśleć o tym, co się między nimi wydarzyło. Oboje zareagowali na siebie z taką desperacją, jakby chcieli sobie powetować stracony czas. Co z tego wyniknie?

- Biedactwo - mruknął, jakby czytał jej w myślach.

Pomógł jej wsiąść na konia i gwizdnął na swojego wierzchowca, który skubał trawę tuż obok. Czas wyciągnąć na światło dzienne tajemnice serca, uznał.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Tu jesteś! A ja cię wszędzie szukam. - Robbie, najwyraźniej bardzo czymś poruszony, biegł do niej korytarzem we wschodnim skrzydle. - Jeździłaś? - Obrzucił wzrokiem jej strój.

- Wiesz, jak to lubię - odparła, usiłując wysondować jego nastrój. - O której przejechałaś?

- Przed godziną. Liczyłem na obiecaną grę w tenisa.

- Nic nie stoi na przeszkodzie. - Spojrzała na zegarek. Do zmierzchu jeszcze daleko. Solidny wysiłek fizyczny tłumi skłonność do wybuchów emocjonalnych. - Wszystko w porządku? - upewniła się.

- Teraz już tak. Wiesz, że czuję się tu zagubiony.

- Mimo wszystko mam wrażenie, że coś cię wytrąciło z równowagi.

- Nic się nie stało, Leo. Wpadłem, całkiem dosłownie, na Tonyę. Ta kobieta to diablica. Jinty jest w świetnym nastroju. Uściskała mnie na powitanie, jakbym był jej ulubionym siostrzeńcem. Jak możesz się domyślić, Rupe także tryskał radością na mój widok. Gdzie Boyd? Nigdzie go nie widziałem.

- Jeździliśmy razem. - Oby tylko głos jej nie zdradził.

- Wspaniale! - wykrzyknął Robbie, podążając w ślad za nią. - Wasz związek się umacnia.

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Ach, kochanie, jesteś jak bury kociak spragniony pieścizot. Ja zresztą też. Przy kolacji obowiązuje strój wieczorowy?

- Dobrze wiesz, że tak.

- Na pewno przywiozłaś prześliczną suknię na tę okazję. - Spojrzał na siostrę z uznaniem. Królewskie włosy, wspaniała cera, promienne oczy - romantyczny sen.

- Wzięłam coś wyjątkowego - przyznała. Faktem jest, że spakowała dwie wieczorowe kreacje. Wiadomo dla kogo. - Wezmę prysznic, a ty się przebierz. Spotkamy się na korce za dwadzieścia minut.

- Jesteś aniołem. - Uściskał ją ze śródziemnomorską wylewnością. - Zaprosić do gry Simona i jego dziewczynę? Simon chce wkrótce ogłosić, że zamierzają się pobrać. - Był to jeden z klanu Blanchardów, również pracujący dla firmy.

- Emma jest bardzo miła.

- A jej rodzina ma ogromną hodowlę owiec - zauważył uszczypliwie.

- Cóż, pieniądze żenią się z pieniędzmi - stwierdziła filozoficznie Leona.

- A władza rodzi władzę. To nieuniknione. Skoro kobiety przy rozwodzie dostają połowę majątku, powinny też wносить posag, jak w dawnych czasach. Stary Rupe wyłazi ze skóry, żeby wepchnąć Chloe w ramiona Boyda. Jest miła. Trochę nijaka, ale wszyscy ją lubią. Nawet ja, chociaż nie przepadam za kobietami. Dwie fortuny to więcej niż jedna. To już nie jest małżeństwo dla pieniędzy, ale zwykły zdrowy rozsądek.

- Skoro bawimy się w swatki, muszę ci powiedzieć, że Annalise bardzo cię lubi. - Była to inteligentna i urocza młoda dziewczyna, studentka uniwersytetu.

- Naprawdę? - Zaczerwienił się. - Nie powinienem się do niej umizgać. Na waszym dworze jestem tylko pastuszkim.

- Nie wyjeżdżaj mi tu z fałszywym kompleksem niższości - ostrzegła. - Nawet ja dostrzegam, jaki jesteś atrakcyjny. Śmiało możesz się z nią umówić. Jestem pewna, że ma na to ochotę.

- Rodzice dzwonili do ciebie? - Byli teraz w Londynie, trochę dla przyjemności, a trochę w interesach. Mieli wrócić za dwa tygodnie.

- Tata dzwonił wczoraj wieczorem - przytaknęła. Rozmowa z ojcem była sztywne, ale może Delia stała za jego plecami i go popędzała.

Czasem się zastanawiała, czy jej podobieństwo do Sereny sprawia, że ojciec zachowuje się tak nienaturalnie. Zamiast zwrócić się do córki, która była jedynym, co mu pozostało po ukochanej młodej żonie, szukał pocieszenia w ramionach Delii. Leona była pewna, że ojciec nie kochał matki Robbiego. Jako jeden z Blanchardów obracał się w takich sferach, gdzie mężczyźnie potrzebna jest reprezentacyjna kobieta u boku. Delia, ambitna bywalczyń salonów, była wystarczająco wytworna i czarująca, by inni mężczyźni mu jej zazdrościli. Jej ojciec był bogaty, choć nie należał do tej samej ligi, co główna część rodziny. Delia z pewnością nie poślubiłaby biedaka.

- Najdroższa mamcia była zbyt zajęta, aby do mnie zadzwonić.
- Ze mną też nie zamieniła słowa, Robbie.
- Jesteśmy jak zabłąkane dzieci, prawda, Leo? To nas czyni bezbronnymi.
- To mnie z pewnością nie powstrzyma. I ciebie też nie powinno. Nie jest łatwo należeć do klanu megabogaczy, a jednocześnie nie być jednym z nich.
- Ty jesteś. To przecież twoja rodzina.
- Robbie, nie marudź. Spójrz na życie pozytywnie. A teraz idź się przebrać. Zmieciemy naszych przeciwników z kortu.

Gdy wrócili po odniesieniu miażdżącego zwycięstwa, dom był już pełen weekendowych gości. Drinki podano w bawialni. Leona uwielbiała rauty i wielkie przyjęcia. Lubiła patrzeć na mężczyzn w smokingach i frakach, kobiety we wspaniałych wieczorowych toaletach.

Nigdzie nie dostrzegła Chloe Compton. Dopiero Geraldine wyjaśniła jej, że Chloe pojechała do Auckland w Nowej Zelandii na ślub swojej szkolnej przyjaciółki.

- Inaczej z pewnością by tu była - ciągnęła. - Pozostali członkowie klanu są bardzo za tym, żeby Chloe wyszła za Boyda.

- Myślałam, że wszyscy tego chcą - zauważyła niepewnie Leo. - Byłoby to spełnieniem marzeń Ruperta.

- Rupert może się wypchać - parsknęła Geraldine.

Leona stała w swojej sypialni, niemal gotowa do wyjścia. Musi tylko zdecydować, którą sukienkę włożyć. Jedna była z prześlicznie udrapowanego zielonego jedwabiu, z niby-diamentową broszką wpiętą w tali. Seksowna, może nawet za bardzo. Druga była z szyfonu, którego kolor wahał się między różem a brzoskwinia. Tę wybrała dla niej Bea.

- Ten kolor jest wprost stworzony dla ciebie, Leono, kochanie. Wspaniale pasuje do twojej cery i włosów. Niewiele osób może sobie pozwolić na taką wyrafinowaną eteryczność, ale ty będziesz wyglądać nieziemsko. Weź ją. To prezent.

Jak ma wyglądać? Femme fatale czy wiosenna nimfa? W końcu jej wybór padł na eteryczny i poetycki wygląd. Nie chciała eksponować własnej zmysłowości. Słodka mała Leona, tak chciał ją widzieć Rupert Blanchard. Rupert, który już poczynił plany, by ze-

swatać syna z Chloe Compton, a był przyzwyczajony do tego, że zawsze stawia na swoim.

A jednak Boyd ją pocałował. Jeśli nawet nie pocałuje jej nigdy więcej, będzie do końca życia pamiętała tę chwilę.

Gdy weszła do salonu w pantofelkach na wysokich obcasach, otoczona musującym obłoczkiem sukni, zwróciły się na nią wszystkie oczy. Widziała w nich zachwyt, przyjemność, podziw. Peter Blanchard, jeden z kuzynów, których znała od urodzenia, nie mógł oderwać od niej wzroku. Od dawna ją adorował, eskortował na liczne towarzyskie imprezy, a ona bardzo go lubiła. Był przystojny, mądry i na swój sposób czarujący. Ukończył parę kierunków, miał też dyplom Harvard Business School i jak większość rodziny, pracował w koncernie Blanchardów.

Niestety, gasł w cieniu Boyda, który wpatrywał się w nią z drugiego końca pomieszczenia. Miała poczucie, że pożera ją wręcz wzrokiem. Stojący obok niego Rupert nic nie zauważył, uśmiechał się tylko z aprobatą.

Geraldine, siedząca na jednej z obitych adamaszkiem sof i pogrążona w ożywionej rozmowie z żoną któregoś kuzyna, dała znać Leo, by do nich dołączyła. Miała na sobie skrajnie ekscentryczną toaletę w kolorze intensywnej purpury cesarskiej i ogromne kolczyki z brylantami oraz ametystami, które zwisały jej aż do ramion.

Tonya odwróciła się do Leony plecami, jakby chciała zignorować jej wejście. Wyglądała bardzo efektownie w krótkiej wieczorowej sukni z połyskliwego materiału w kolorze kwiatów fuksji i z kieliszkiem szampana w ręce.

Wszystkie obecne tu kobiety błyszczały i rozkwitały na tle swoich nienagannie eleganckich partnerów, ale żadna nie mogła przyćmić Jinty. Pani domu przeszła samą siebie. Włożyła piękną czarną, satynową suknię bez ramiączek, dzieło któregoś z największych projektantów mody, szyte na zamówienie, niczym dzieło sztuki. Gęste jasne włosy były upięte w fantazyjny kok przez fryzjerkę, którą najpewniej sprowadziła na dzisiejsze popołudnie do rezydencji. Ale to wszystko stanowiło tylko oprawę dla słynnych brylantów Blanchardów.

Mogłaby ich pozazdrościć królowa angielska, skądinąd właścicielka najwspanialszej kolekcji klejnotów świata. Komplet składał się z naszyjnika, kolczyków i bransolet-

ki. Kamienie najczystszej wody, bez najmniejszych skaz i zanieczyszczeń. Podwójny sznur okrągłych białych brylantów otaczał szyję Jinty, a największą ozdobą kolii był żółty diament, który ważył ponad trzydzieści karatów. Same kolczyki miały dwie dziewięciokaratowe brylantowe łożki. Teraz połyskiwały i lśniły przy każdym poruszeniu Jinty. Każdy w rodzinie znał historię klejnotów. Zostały one zakupione na początku dwudziestego wieku od sławnego rodezyjskiego multimilionera. Podobno wydobyto je w pierwszej kopalni diamentów należącej do Cecila Rhodesa.

Ostatnim razem cały komplet został pokazany publicznie, gdy Alexa wystąpiła w nim na wielkim balu. Jinty nosiła czasem kolczyki albo bransoletkę, jednak nigdy jeszcze nie włożyła kolii. Komplet przechodził z pokolenia na pokolenie w ręce małżonki aktualnej głowy rodu Blanchardów. To oznaczało, że obecna pani Blanchard jest tylko opiekunką klejnotów. Gdyby Rupert się z nią rozwiódł, dostałaby ogromne odszkodowanie, ale diamenty pozostałyby w rodzinie.

- Jinty, wyglądasz wprost bajecznie! - wykrzyknęła szczerze Leona.

- Dziękuję, moja droga. Te diamenty sprawiają, że czuję się jak bogini.

- Są cudowne, naprawdę cudowne.

- A ty jesteś śliczna jak zawsze - odparła łaskawie gospodyni. - Niezwykły jest kolor twojej sukienki. Szczególnie w zestawieniu z włosami.

- Wybrała ją Bea.

- Nie znoszę jej - Jinty się wzdrygnęła - choć przyznaję, w niektórych sprawach jest geniuszem. Rupert wynosi ją pod niebiosa. Nie uważasz, że jest bardzo brzydka? Czeka, podam ci szampana. - Odwróciła się, ale uprzedził ją Boyd, który wręczył Leonie kieliszek.

- Wyglądasz olśniewająco, Leo - powiedział pieszczotliwie.

- To prawda - przytaknęła pospiesznie pani domu. - Ale gdzie się podziewa twój przyrodni brat? Nie możemy siadać do stołu bez niego. - Na widok Robbiego wchodzącego do salonu wycofała się, dając im znaki, że Rupert nie może się bez niej obejść.

- Usiądź ze mną - poprosił Boyd.

- Powinnam podejść do Geraldine.

- Będzie cię miała później. Teraz jesteś moja. - Władczym gestem wziął ją pod ramię. Może to paranoja, ale miała wrażenie, że wszyscy w salonie utkwili w nich badawcze spojrzenia. Poza Tonyą, która miała mord w oczach. Ubzdurała sobie, że ma jakieś szanse, by złapać Boyda i nie przyjmowała do wiadomości, że jest ostatnią kobietą, na którą taki facet jak on zwróciłby uwagę.

Może wszystkie kobiety mają tendencję do samookłamywania się, pomyślała Leona. Dopatrują się znaków i intencji tam, gdzie nie ma żadnych.

- Przepraszam, że się spóźniłem, ale miałem kłopoty z wiązaniem krawata - przyznał Robbie, który właśnie do nich podszedł. - Wyglądasz wprost cudownie, Leo. - Patrzył na nią z dumą i podziwem.

- Cudownie nie jest wystarczającym słowem. Powiedziałbym raczej: magicznie - poprawił go Boyd.

Robbie nagle spostrzegł panią domu.

- O kurczę! Co Jinty ma na sobie? Klejnoty koronne?

- Nie, mój drogi, to są diamenty Blanchardów - poprawił go Boyd. - Zapewniam, że to nie jest to samo.

- Przecież widziałeś kolczyki? Jinty często je wkłada - przypomniała mu siostra.

- Ale naszyjnik! - Robbie wyglądał na oszołomionego. - Chętnie przyjrzałbym mu się z bliska, ale nasza Jinty bywa nieobliczalna. Może mnie znokautować. Muszę przyznać, że dobrze jej w brylantach, ale jak pięknie wyglądałyby one na tobie, Leo!

- Nie, nie! - zaprotestowała gwałtownie. Diamenty Blanchardów są przeznaczone dla żony Boyda.

- Jesteś snem nocy letniej - zwrócił się do niej Boyd. - Nie potrzebujesz klejnotów, Leo, tylko korony z kwiatów.

- Mój Boże, Boyd, jesteś w głębi duszy romantykiem. Nic dziwnego, że kobiety cię kochają. Mówisz takie poetyckie komplementy - powiedział Robbie.

- Zauważyłeś, że mówię je tylko Leonie?

- Rzeczywiście. - Robbie spoważniał. - Jak się dobrze zastanowić, tylko Leonie. Zostawię was. Czas na martini.

- Pod warunkiem, że będziesz je sączyć, a nie się nim zalewać - ostrzegł Boyd.

Jutro weźmie chłopaka na poważną rozmowę. Trzeba go przywołać do porządku, zanim zrobi sobie krzywdę.

Punktualnie o ósmej wszyscy zasiedli przy długim mahoniowym stole. Dwadzieścia cztery osoby. Leona została posadzona obok Petera, pośrodku stołu, a Robbie naprzeciwko nich. Geraldine siedziała przy gospodarzu, po jego prawej ręce. Boyd znalazł się przy pani domu, a jej siostra zajęła miejsce vis-à-vis. Wszyscy wedle statusu majątkowego, czyli, jak się mówi w psychologii, wedle porządku dziobania.

Na przystawkę podano małże z sosem pesto i cząstkami limonek. Sącząc zimne białe wino z lekko cytrusową nutą, Leo spojrzała na Boyda. Wpatrywał się w nią uważnie. Poczwała płynący z jego oczu prąd, który ją przeszył na wskroś.

Peter coś jej opowiadał, ale puszczała jego słowa mimo uszu.

- Czy ty mnie w ogóle słuchasz? - Dotknął jej ręki, co nagle wyrwało ją z zadumy.

- Oczywiście. Opowiadałeś o swojej wyprawie na Antarktydę i o tym, jak to cię zmieniło.

Uśmiechnął się zadowolony, że go słuchała. Cała rodzina wiedziała, że darzy Leonę uczuciem.

- No, to niezwykle miejsce. Oślepiający biały lód. Może to dziwne, ale jest tylko jedno miejsce na świecie, gdzie człowiek odczuwa taką pokorę wobec natury.

- Australijski busz - odgadła. - Pustka, przestrzeń, poczucie całkowitej izolacji i niemal mistyczne doznania.

- Zgadłaś. Oba te miejsca wywarły na mnie niezatarte wrażenie. Czasem myślę, że chciałbym być odkrywcą.

- Zamiast tego w mądry sposób zarządzasz rodzinnym kapitałem.

- To też jest wyzwanie. A o wyzwaniach mówiąc, nie mogę się doczekać jutrzejszego meczu polo. Będziesz mi kibicować?

- Za skarby świata bym go nie opuściła...

Po kawie i likierach towarzystwo zgromadziło się w bawialni, gdzie Jinty, która była utalentowaną śpiewaczką obdarzoną ładnym mezzosopranem, odśpiewała kilka znanych standardów bluesowych z repertuaru Elli Fitzgerald i Peggy Lee.

- Nie klaszcz za długo - szepnął Leonie do ucha Peter, który nie był melomanem - bo Jinty się rozochoci i będzie nas tu trzymała do czwartej rano.

Gospodyni jednak miała świetne wyczucie i wiedziała, kiedy zakończyć swój recital. Brawa, którymi ją nagrodzono, były najzupełniej szczere. Stała przy fortepianie, kłaniając się z gracją, zadowolona z tak powszechnie wyrażonego uznania. Światło z czterech połączonych kandelabrow wydawało się blade przy oślepiających błyskach diamentów.

- Dałabym duszę za same kolczyki - szepnęła żona jednego z kuzynów.

Dusza jest święta, pomyślała Leona, nie oddałabym jej za nic. Wystarczy, że czasem człowiek oddaje serce.

Boyd był rozrywany. Każdy usiłował zamienić z nim parę słów. Petera zatrzymał jeden z ciotecznych dziadków, były sędzia Sądu Najwyższego.

Leona postanowiła zaczerpnąć świeżego powietrza. Wieczór był piękny, kopuła nieba skrzyła się diamentami gwiazd. Część gości wyszła do ogrodu. Właśnie kierowała się do wyjścia, gdy dostrzegła Jinty, która zdjęła kolczyki - musiały być bardzo ciężkie - i wsunęła je do porcelanowego kielicha przykrywanego kopułką z połączanego brązu. Cała kolekcja dziewiętnastowiecznej francuskiej porcelany stała na małym okrągłym stoliku, podtrzymywanym przez połączone łabędzie.

To było krańcowo lekkomyślne z jej strony, nawet bezmyślne. Najwyraźniej Jinty miała stuprocentowe zaufanie do wszystkich swoich gości i licznej służby. Leo nie podejrzewała nikogo o nic zdrożnego, ale... Nigdy w życiu nie zrobiłaby czegoś tak ryzykownego. Rupert wpadłby w szal, gdyby kolczyki zginęły.

Przez chwilę miała ochotę podejść do Jinty i ostrzec ją, jednak nie była pewna, jak to zrobić, by nie urazić pani domu, która - jako żona Ruperta - czuła się lepsza niż otoczenie i źle reagowała na krytykę. W połowie drogi powstrzymało ją męskie ramię.

- Dokąd się tak spieszysz?

- Chcę wyjść na dwór - skłamała pospiesznie. Jinty z pewnością nie chciałyby usłyszeć pouczeń z ust Boyda. Poczwała z nią dziwną lojalność.

- Uciekasz przed Peterem? Nie powinnaś dawać biedakowi fałszywej nadziei - zauważył chłodno.

- Nic na to nie poradzę, jeśli się we mnie zadurzył - burknęła.
- Zadurzają się nastolatki. On ma już dwadzieścia osiem lat.
- Nie słyszałeś o zakochanych osiemdziesięciolatkach? Goethe, Tołstoj. Nawet nasz pradziad William stracił głowę dla dwudziestoletniej baletnicy.

- Nie kłóćmy się. Przez cały wieczór modliłem się o sam na sam z tobą.
- Nie wiedziałam, że otaczasz mnie nabożną czcią.
- Uwielbiam twoje pocałunki. Brałaś lekcje?
- Mam wrodzony talent.
- Szybko, skręćmy tutaj. - O mało nie straciła równowagi, więc sprawdziła, co ka-
zało mu zmienić kierunek.

- Ach, spostrzegłeś Tonyę. A może Jinty? Rozmowa z tobą w czasie kolacji mu-
siała być niezwykle interesująca. Spijała ci słowa z ust.

- Lepiej niech pamięta, że jest szczęśliwą mężatką - mruknął, wyraźnie niezado-
wolony.

- To nie czyni jej odporną na twój urok - zakpiła. - Skąd wiesz, czy jest szczęśliwa?

- Jinty kocha pieniądze - stwierdził.

Odeszli w cień, z dala od lampionów i gwaru rozmów.

- Wszyscy ludzie je cenią - zauważyła Leona. - Zarzekają się, że tak nie jest, ale w
istocie bardzo im na nich zależy.

- Tata jest pewnie dużo bardziej hojny niż większość mężczyzn.

- Więc kiedy Rupert mówi: „Skacz”, Jinty skacze.

- Taki mają układ - podsumował.

- Czy tam, gdzie w grę wchodzi pieniądze, zawsze musi być mowa o układach i
wzajemnych interesach? Czy miłość nie jest silniejsza niż układy?

- Mam nadzieję, że tak właśnie jest.

- Całe szczęście, że jesteś niezależny. Inaczej Rupert ożeniłby cię z Chloe.

- Życzenia i sądy mojego taty nie mają tu nic do rzeczy. Lubię Chloe, ale nie je-
stem w niej zakochany.

- Co nie zmienia faktu, że ona jest zakochana w tobie - wytknęła mu Leona. -
Zwolnij, na litość boską. Nie mam tak długich nóg jak ty.

- Leo, nie zamierzam wręczyć Chloe pierścionka zaręczynowego, jeśli to chcesz wiedzieć.

- Nie ma znaczenia, co ja na ten temat myślę. Jestem tylko twoją kuzynką. Ale Tonya dostałaby rozstroju nerwowego, nie mówiąc już o twoich byłych.

- Byłbym wdzięczny, gdybyś nie wspominała moich byłych - odparł. - Dla twojej wiadomości: nie należy do nich Tonya. Ojciec ją zaprasza, żeby mi zrobić na złość.

- Masz opinię Casanovy - zauważyła żartobliwie.

- Mam wrażenie, że to popołudnie cię niczego nie nauczyło.

- Nic nie pamiętam.

- Więc potrzebujesz przypomnienia.

Sekundę później była w jego ramionach. Boyd miał nad nią niesamowitą władzę. Jeden pocałunek i płonęła z pożądania. Ale było to coś więcej niż seks. Znacznie więcej. Coś jak zbawienie. Jak znalezienie prawdziwego domu. Jak połączenie dusz. Czy jednym pocałunkiem otworzyli drzwi, które powinny były zostać zamknięte?

- Pragnę cię - szepnął cicho.

- To szaleństwo.

- Byłem szalony od długiego czasu.

Jego wyznanie wstrząsnęło nią i sprawiło, że wszystko inne przestało się liczyć. Pożądanie wzięło górę nad rozumem. Nie chciała się dłużej opierać. On ją całował, a ona na to przyzwalała.

Należy do niego. Co pocznie, jeśli go straci?

ROZDZIAŁ CZWARTY

Tonya wpadła na nich, gdy wracali do domu.

- Gdzieście się podziewali? - spytała ostrym tonem.

- Czemu tak cię to interesuje? - zaśmiał się.

Miłosierna ciemność skryła rumieniec złości na jej twarzy. Trudno było zignorować wyraźną kpinę w głosie Boyda.

- Na miłość boską, Boyd, wszyscy was szukali, tylko o to mi chodzi.

- Mam dosyć kontaktów z rodziną na co dzień, w pracy.

- Chcieli ci po prostu życzyć dobrej nocy. - Tonya z pretensją w głosie zwróciła się do Leony. - Peter się o ciebie dopytuje.

- Przestań, Tonyu. Leona i Peter nie są parą - wtrącił Boyd.

- Lepiej mu to powiedz! - Zaśmiała się złośliwie.

- Jak to się dzieje, że nie możesz pojąć najprostszych rzeczy? - Boyd przestał już ukrywać irytację.

Leona instynktownie chwyciła go mocniej pod ramię, jakby przez dotyk mogła rozładować trochę jego gniew. Cóż za idiotka z tej Tonyi.

- Może przejdziemy do środka? - zasugerowała pospiesznie, zastanawiając się jednocześnie, czy rozgniewana kobieta zauważy brak szminki na jej ustach. Natychmiast rozpuści plotki; wystarczy jej pretekst, by wtrącać się w sprawy innych ludzi.

- Gdybyś była dobrą siostrą, zajęłabyś się swoim bratem. - Tonya strofowała Leonę tonem, którym się daje reprimendę uczniom. - Na lewo i prawo mówi impertynencje. Trudno to znieść.

- Robbie ma prawo mówić, co mu się podoba - odparował Boyd. - Zastanawiam się, czemu przyjechałaś, jeśli ci się tu nie podoba. - To było już na granicy nieuprzejmości. Nawet osoba o grubej skórze powinna odczuć ten docinek.

Leona nie chciała być świadkiem upokorzenia Tonyi, niezależnie od tego, że podzielała niechęć Boyda do niej. Przeprosiła ich i pospieszyła do domu. Czemu Tonya w taki niemądry sposób stara się zwrócić na siebie jego uwagę? Czy nie widzi, że działa mu na nerwy? Może naprawdę jest idiotką?

Na schodach dogonił ją Robbie. Wyglądał okropnie. Pod opalenizną był bardzo blady, oczy świeciły mu się gorączkowo. Najwyraźniej przesadził z drinkami. Zawsze miał skłonność do przesady.

- Gdzie byłaś?

- Jesteś kolejną osobą, która zadaje mi to pytanie. Byliśmy z Boydem na spacerze.

Gwizdnął przeciągle.

- O co ci chodzi?

- Leo, mnie nie oszukasz. Kochałaś Boyda już wtedy, kiedy byłaś małą dziewczynką. Teraz wyrosłaś na piękną młodą kobietę, a Boyd wyraźnie daje do zrozumienia, że dostrzega tę metamorfozę.

- Nic z tego nie będzie.

- Nie zgadzam się. Jesteś wyjątkowa. Myślisz, że tak bystry człowiek nie potrafi tego docenić? Tylko nie śpij z nim przed ślubem. Znam wiele dziewcząt, które w ten sposób zmarnowały swoją szansę.

- Będę o tym pamiętać. - Wymierzyła mu żartobliwego kuksańca, ale uśmiech zamarł jej na ustach. Robbie był blady jak ściana. - Co się dzieje? Jest ci słabo? Nie możesz tyle pić!

Zamknął oczy i nie reagował, gdy zaczęła nim potrząsać.

- Robbie! - zawołała.

- Boże, niech to diabli - jęknął w końcu.

To nie brzmiało jak bluźnierstwo, ale prośba o wybaczenie.

- Masz kłopoty, tak? Powinnam się była domyślić. Powiedz, proszę. - Wciągnęła brata do sypialni.

Opadł na kwiecisty fotel w stylu Ludwika XIV i podparł głowę dłońmi.

- Jinty nie powinna się bawić w dekoratorkę wnętrz - jęknął. - To łóżko jest całkowicie idiotyczne.

- Mniejsza o twoje estetyczne wrażenia. Powiesz mi wreszcie, co się dzieje? Jak ci pomóc?

- Nie jestem pijany, Leo. Nie złamałbym zakazu Ruperta - rzekł i nagle dostał ataku histerycznego śmiechu.

- Robbie, jestem przerażona. Cokolwiek się stało, możesz mi powiedzieć. Razem sobie poradzimy.

- Nie wybaczysz mi, Leo. Sam sobie nigdy nie wybaczę. Chyba jestem złym człowiekiem. Albo szalonym. Draniem, jak Carlo.

- Carlo nie był draniem. - Leona zadziwiła samą siebie niespodziewaną potrzebą obrony dobrego imienia jego nieudanego ojca. - Zawsze podejrzewałam, że Delia celowo przedstawia go w złym świetle, żeby wszyscy jej współczuli. Twoja matka potrafi manipulować ludźmi.

- Muszę mieć w sobie geny sycylijskich mafiosów. - Sięgnął do kieszonki na piersi i ku przerażeniu Leony wyjął dwa brylantowe kolczyki.

Straciła głos. Po chwili wydała z siebie zdławiony szloch, jakby trafił ją pocisk rewolwerowy.

- Robbie... Robbie! Czyś ty rozum postradał?

- Chwilowa niepoczytalność - odparł słabo. - Żyję wśród tych nieprzyzwoicie bogatych ludzi i nie mogę z żadnym z nich zamienić się miejscami. Pieniądze korumpują, Leo. Wiodą na pokuszenie. Prowadzą do grzechu.

- Musimy natychmiast odłożyć brylanty - zdecydowała. - Widziałeś, jak Jinty wkłada kolczyki do porcelanowej wazy?

- To było niewiarygodnie głupie - mruknął, jakby cudza głupota stanowiła usprawiedliwienie jego czynu.

- Kradzież jest jeszcze głupsza. Co chciałeś z nimi zrobić? Diamenty Blanchardów są sławne. Nie mogłeś liczyć na to, że da się je sprzedać po kryjomu.

- Byłem wściekły, wstawiony i przez chwilę nie zastanawiałem się nad tym, co robię. Później oprzytomniałem, ale już nie było okazji do odłożenia brylantów na miejsce. Spanikowałem. Szukałem cię wszędzie, ale rozplynęłaś się w powietrzu.

- Liczyłeś na to, że ja je podłożę? - spytała z niedowierzaniem. - Rozpuściłam cię jak dziadowski bicz. Jestem twoją siostrą, zawsze brałam twoją stronę, a ty robisz taką rzecz pod dachem Blanchardów? Rupert każe cię powiesić.

- Na szczęście już się nie wieszają ludzi. Wybacz mi, Leo. Przysięgam, że ogarnęło mnie chwilowe zaćmienie. Chciałem się na nich wszystkich odegrać. Większość ludzi tutaj traktuje mnie jak śmiecia.

- Przestań się nad sobą użalać! - powiedziała i wyjęła mu kolczyki z zaciśniętej ręki. - Nie ma czasu. Trzeba działać natychmiast.

Robbie stanął przed nią ze spopieloną twarzą.

- Nie mogę cię narażać, Leo. Czas być mężczyzną. Muszę ponieść konsekwencje własnych czynów. Znajdę Boyda. Powiem mu, co się stało. Obedrze mnie ze skóry, ale znajdzie jakieś rozwiązanie.

- Nie możemy włączać w to Boyda - zaprotestowała. - Sama się tym zajmę. Wszyscy już poszli spać.

- A jeśli Jinty już była po kolczyki i stwierdziła, że zginęły? - Robbie był coraz bardziej przerażony.

- Jeszcze tego nie zrobiła. Poderwałaby cały dom na nogi.

- Masz rację. Już byłoby słychać łomotanie do drzwi. Staruszkowie wyrwani z łóżek. Podejrzani osobnicy tacy jak ja poddani rewizji osobistej. Idę odłożyć kolczyki.

- A jak cię złapią? Zostaw to mnie.

Długa galeria w zachodnim skrzydle była kompletnie opustoszała, tylko portrety przodków zerkały na nią surowo. Nikt nie wchodził ani nie schodził po monumentalnych schodach. Żadnych odgłosów, rozmów ani kroków. Dom wydawał się wymarły.

Leona nigdy w życiu nie była tak przerażona. Diamenty w jej dłoni sprawiały wrażenie zamrożonych kawałków lodu. Panował półmrok, wielkie żyrandole na noc pogaszone; świeciły się tylko mniejsze lampy i kinkiety.

Jak się wytłumaczy, jeśli wpadnie na kogoś z domowników? Rupert jest znany ze swojej skłonności do pojawiania się tam, gdzie nikt się go nie spodziewa. Jak usprawiedliwić swoją obecność? Co ją wygoniło z łóżka o tak późnej porze? Chce wziąć książkę z biblioteki? Nikt w to nie uwierzy. Zgubiła kolczyk? Obydwa ma w uszach, a sama wzmianka o kolczykach zaalarmuje Ruperta, który ma niesamowite zdolności dedukcyjne.

Miała mdłości i trzęsa się ze zdenerwowania. Przez chwilę stała przed bawialnią i zbierała siły, by zajrzeć do pokoju. Może ktoś tam jeszcze siedzi? Jednak panowała martwa cisza. Bezszelestnie wsunęła się do środka. Miała na nogach baletki, więc jej kroki na dywanie były niesłyszalne.

Czuła się jak złodziej, zżerało ją poczucie winy. Serce waliło tak mocno, jakby chciało wyskoczyć z piersi. Stolik z kolekcją francuskiej porcelany był tuż przed nią. Wyciągnęła drżącą rękę. Boże, proszę, pomóż mi.

- Leo? - Głos, który rozległ się za plecami, na pewno nie był głosem stwórcy. Sta-
nęła jak wryta. - Co robisz na dole? Nie możesz spać?

Nie była w stanie się odezwać. Łzy bezsilności i wstydu popłynęły jej z oczu.

- Leo? - powtórzył Boyd. - Dobrze się czujesz?

W jego głosie był niepokój. Co odpowiedzieć? Nie czuję się dobrze. Już nic i nigdy nie będzie w porządku. Wzięłam diamenty; nie mogłam się oprzeć, ale teraz próbuję je zwrócić. Boyd będzie oburzony, ale jej nie wyda. Nie jest bezduszny jak jego ojciec.

Zaciekawiony i zaniepokojony wziął ją za ramiona okryte tylko mgiełką szyfonu i odwrócił ku sobie.

- Powiedz, co się stało. Co trzymasz w dłoni?

- Nic. - Odwróciła głowę.

- Oczywiście, że coś masz. - Przytrzymał przegub ręki, a wtedy kolczyki wy-
msknęły jej się z dłoni, a brylanty zaiskrzyły się na puszystym dywanie.

- To niemożliwe - wykrztusił, nachylając się i podnosząc klejnoty.

- Naprawdę nie wiem, co we mnie wstąpiło - wyszeptała drżącym głosem.

- Ale ja wiem. Robbie wpadł w tarapaty. Chyba nie myśli, że kradzież kolczyków
poprawi jego sytuację?

To okropne. On od razu podejrzewa Robbiego.

- To nie on - zaprzeczyła gwałtownie.

- A więc ty wzięłaś te kolczyki? - spytał z niedowierzaniem i odrazą.

- W chwili szaleństwa, Boyd. Chciałam je przymierzyć i oddać. To właśnie stara-
łam się zrobić. Nie zauważyłaś, ale Jinty zdjęła je pod koniec wieczoru i włożyła do tam-
tego kielicha.

- Zrekonstruujmy przebieg wypadków. W którym momencie wzięłaś kolczyki? Byłaś ze mną w ogrodzie i całowaliśmy się jak szaleni. Potem życzyłaś mi dobrej nocy i skierowałaś się na górę. Wchodziliście po schodach z Robbiem, twoim braciszkiem.

- Mówię prawdę - broniła się.

- Opowiedziałaś mi stek kłamstw. Dlaczego po prostu do mnie nie przyszłaś? Dlaczego Robbie nie miał odwagi zapukać do mnie i przyznać się do wszystkiego?

- On nie ma z tym nic wspólnego. - Leona zapierała się coraz mniej przekonująco.

- Przestań - warknął zniecierpliwiony. Rozluźnił krawat i rozpiął koszulę pod szyją. O ile to możliwe, wyglądał jeszcze bardziej władczo.

- Ktoś idzie! - szepnęła przerażona.

- Pocałuj mnie - zakomenderował Boyd. - I włóż w to dużo serca. - Przyciągnął ją, jakby była lalką.

Tym razem nie dyskutowała, zrobiła dokładnie to, co jej kazał. Pocałunek, który miał być elementem strategii, wkrótce pozbawił ją zdolności logicznego myślenia. Mogła tylko zdyszczanym szeptem powtarzać jego imię.

- A to ci niespodzianka! - Jinty wpadła do pokoju jak bogini łowów, która właśnie dopadła ofiarę.

Jednak Boyd nie wydawał się zbity z pantałyku.

- Niespodzianka? Chyba nie taka wielka. Zawsze żywiłem głębokie uczucie do Leony, a ona do mnie.

- Jeśli dobrze pamiętam, to ty i Chloe macie się pobrać?

- Może tata ma takie plany - stwierdził Boyd. - Ja na pewno nie. Nie jestem zakochany w Chloe, tak jak nie jestem zakochany w twojej siostrze, Tonyi. O, a przy okazji - Boyd włożył rękę do kieszeni i wyciągnął dwa błyszczące diamenty - nie powinnaś rzucać gdzie popadnie niezwykle cennej rodowej biżuterii. Teraz sobie o nich przypomniałaś?

- Masz moje kolczyki? - jęknęła Jinty.

- Należą do rodziny - rzekł z naciskiem Boyd. - W przyszłości będą należeć do mojej żony. Całe szczęście, że to ja zauważyłem, gdzie je kładziesz. - Podał je macosze, która nie kryła emocji.

- Mam nadzieję, że nie powiesz ojcu.
- Nawet mi to nie przyszło do głowy. Po prostu w przyszłości bardziej uważaj.
- Może jestem mało spostrzegawcza, ale nie podejrzewałam, że coś was łączy. -

Jinty nie umiała powstrzymać ciekawości.

- Do tego weekendu nic się nie działo. Dałem Leo trochę czasu, i tyle. Zmieniła się z dziewczynki w kobietę, ma swój zawód. Wszyscy jesteśmy z niej dumni, ale nadszedł czas na dorosłe decyzje.

- Ojciec wie?

- Jeszcze nie. Był zajęty swataniem mnie z Chloe. Powiem mu w stosownym czasie. Leo będzie prześliczną panną młodą.

Jinty wyszła z pokoju jak niepyszna.

- Czyście wszyscy poszaleli? - rzekła Leona.

- Nigdy nie myślałem bardziej trzeźwo. Chodź, odprowadzę cię na górę. Możesz powiedzieć swojemu tchórzliwemu braciszкови...

- Nie jest tchórzem. Chciał sam odłożyć kolczyki - broniła go zażarcie.

- Tkwi po uszy w długach - stwierdził Boyd.

- Naprawdę?

- Więc nie wiesz?

- Zazwyczaj mówi mi o wszystkim, ale...

- Zadał się z podejrzanymi typkami. Ci ludzie znani są z tego, że biorą na cel takich młodych idiotów, zwykle bogate, nie znające życia dzieciaki.

- O Boże! To moja wina.

- Od lat go kryjesz. Gdzie on teraz jest? I błagam, nie kłam więcej.

- W moim pokoju.

- Schował się pod twoim łóżkiem?

- Wiesz, dlaczego wciąż popada w tarapaty? - Leona podjęła kolejną próbę usprawiedliwienia brata.

- Niech zgadnę. Jakiś kryzys tożsamości? - spytał złośliwie.

- Ojciec go porzucił. Mój tata nie jest dla niego żadnym oparciem. Dla mnie zresztą też. Kotka ma więcej instynktu macierzyńskiego niż Delia. Robbie od dziecka jest w ciężkiej depresji.

- To bez sensu! Robbie pławi się w swoim wyimaginowanym nieszczęściu, podczas gdy jest pieszczochem losu. Dostaje co miesiąc hojną sumkę na konto. Kupuje, co mu trzeba, w sieci naszych sklepów, na ogół na kredyt, którego nie spłaca. Studiuje na uniwersytecie. Jest utalentowanym sportowcem. Ma rozum i urodę. Doprawdy, serce mi krwawi, kiedy o nim myślę.

- Co zrobisz? - szepnęła pokonana.

- Zbiję go na kwaśne jabłko. - I na widok jej przerażonej miny dodał szybko: - Nie bój się. Powiedz Robbiemu, że chcę się z nim spotkać punktualnie o dziesiątej w holu. Pójdziemy sobie na długi spacer.

- Och, dziękuję, Boyd. - Miała ochotę pocałować go w rękę.

- To nie koniec, Leo. Każde słowo, które powiedziałem do Jinty, jest prawdą. Będziesz piękną panną młodą. Moją. Należysz do mnie i do nikogo innego. Oto moje warunki. Wyciągnę Robbiego z kłopotów i dopilnuję, żeby stanął na nogi. Następnym razem, kiedy narozrabia, będzie musiał ponieść konsekwencje. A ty wyjdiesz za mnie. Jesteś jedyną kobietą, której pragnę.

- Możesz... po-powiedzieć dla-dlaczego? - Była tak rozgniewana, że zaczęła się jąkać. Zielone oczy rzucały błyski. Wściekłość ją dławiła. Jak on może myśleć, że zaprobuje oświadczyzny, które są tylko układem handlowym?! - Myślisz, że masz mnie w garści?

- Zgadza się - szepnął, przyciągając do siebie jej głowę i całując z brutalną siłą.

- To szantaż! - Trudno było się z nim kłócić, kiedy jeszcze czuła smak jego pocałunku, ale nie zamierzała poddać się bez walki.

- Masz wybór: poświęcasz Robbiego albo zaczynasz ze mną nowe życie.

- A co jeśli twój ojciec się nie zgodzi?

- Moje życie prywatne nie jest jego sprawą. Sam sobie wybieram żonę. I wybieram ciebie, Leono. Znamy się od dziecka. Rozumiem cię lepiej niż kogokolwiek innego. Ze względu na ciebie zajmę się Robbiem. Moim zdaniem chłopak potrzebuje silnej ręki.

- Jak długo to planowałaś?

- To bez znaczenia. Powiedzmy, że dzisiejsza noc była katalizatorem wydarzeń. Nie musisz nic nikomu mówić. Zajmę się wszystkimi przygotowaniem.

- Czekaj. Nie rozumiem. Jakimi przygotowaniem? - Jej temperament znowu dawał o sobie znać. - A jeśli się nie zgodzę? Rzucisz Robbiego wilkom na pożarcie?

- Dawno powinienem mu tym zagrozić. Teraz to nieistotne, bo przyjmiesz moją ofertę. Jutro porozmawiam z ojcem.

- Nie boisz się nikogo, prawda? A ja tak. Daj mi czas na ucieczkę, zanim pójdziesz do Ruperta. Dostanie amoku.

- Jesteś pewna?

- Oczywiście. Mała Leo wykrada mu następcę tronu? Wpadnie w szal.

- Czemu się tak nisko oceniasz? Jesteś piękna. Jesteś mądra. Jesteś harda, czasem za bardzo. W sumie - chluba każdej rodziny. Skąd ten brak pewności siebie?

- Może to kwestia wieku - rzuciła z irytacją. - Ty też miałaś problemy i jakoś je rozwiązałaś. Mam dwadzieścia cztery lata, ty trzydzieści. W ciągu sześciu lat można nabrać doświadczenia.

- Miałbym czekać, aż przekroczysz trzydziestkę? Musiałbym na głowę upaść, żeby dać ci jeszcze choćby rok. Musi ci wystarczyć pół roku.

- Jesteś na mnie wściekły? Więc dlaczego chcesz się ze mną ożenić? Czy po ślubie mamy zatrzymać osobne mieszkania?

- Ciekawy pomysł. - Zaczął się śmiać. - Kwiatuszku, nie sądzisz, że potrafię cię uszczęśliwić?

Odwróciła głowę, by ukryć łzy w oczach.

- Może ty lekceważysz potrzebę miłości, ja nie. Między nami iskrzy, to prawda. Mówisz, że mnie pragniesz. Jestem tym przerażona, ale ja też cię pragnę. Jednak co to właściwie znaczy? Zaspokojenie seksualnych apetytów?

- Z pewnością. - Głos miał niski i uwodzicielski.

- Przestań się ze mnie wyśmiewać! - krzyknęła. - Zawsze tylko kpisz. Potrzebuję kogoś, kto będzie mnie kochał, Boyd. Z całego serca! Romantycznie i do grobowej deski. Dlaczego ty mnie nie kochasz? Widzisz, nie masz żadnej odpowiedzi!

Odwróciła się i wypadła z pokoju. Wołał ją, błagał, by się zatrzymała, ale nie dała mu szansy na ripostę.

Robbie miotał się po pokoju jak pantera w klatce.

- Załatwione. - Leona opadła na łóżko.

- Dzięki Bogu. Chyba wrócę na łono kościoła. Odłożyłaś kolczyki?

- Prawie.

- Zostałaś przyłapana?

- Boyd zszedł na dół pogasić światła. Zobaczył mnie w bawialni.

- Matko Boska! Musiałaś być przerażona!

- Oczywiście. Ale na szczęście to był Boyd, a nie ktoś inny. Bałam się Ruperta.

- Musielibyśmy uciekać na Antarktydę. Co się stało?

- Dowiesz się jutro. Masz się spotkać z Boydem w holu punkt dziesiąta. Idziecie na przechadzkę, żeby nikt nie słyszał, jak ci wymyśla.

- Powiedziałaś mu? Słusznie. To moja wina. Nie powinienem cię w to wrabiać.

- Nie powiedziałam, ale zna mnie zbyt dobrze, żebym go mogła oszukać. Domyślił się, że wzięłaś te kolczyki. Wie wszystko o twoich kłopotach.

- Co teraz będzie? - Patrzył na nią jak skazaniec czekający na wyrok.

- Uważa, że bogactwo cię rozpuściło, i pewnie ma rację. Spójrz na swój garnitur. Kosztuje parę tysięcy. Tatuś daje ci bardzo hojną miesięczną pensję. Po studiach możesz dostać dobrą pracę z koncernie Blanchardów. Współczuję ci i rozumiem twoje emocjonalne problemy. Też je mam. Ale trzeba z nich wyrosnąć, a nie masochistycznie rozdrapywać rany. Pojedź do Włoch na wakacje. Odszukaj ojca i zażądaj wyjaśnień. Może się okazać, że Carlo będzie uszczęśliwiony tym spotkaniem.

- Pytanie tylko, czy będę na wolności. W końcu popełniłem przestępstwo.

- Tak, zrobiłeś coś złego i głupiego, ale w porę się cofnąłeś, co przemawia na twoją korzyść. To było chwilowe zaćmienie. Oboje wiemy, że Boyd jutro pogada z tobą tak, że będziesz miał ochotę zapaść się pod ziemię. Zasłużyłeś. Przyjmij to jak mężczyzna. Zapewnił mnie, że nie wyciągnie innych konsekwencji.

- Boyd zrobiłby dla ciebie wszystko. - Robbie przyjrzał się siostrze badawczo. - Naprawdę chodzi o ciebie! Prosiłaś go?

- To on poprosił mnie. O rękę. - Leona zatrzymała dla siebie uwagę, że owa prośba była utrzymana w trybie oznajmującym.

Twarz Robbiego rozjaśniła się, jakby w jednej chwili wyparowało z niego przygnębienie.

- To cudownie! Po prostu wspaniale! Nie mogę sobie wyobrazić nikogo, kto bardziej do ciebie pasuje. Jesteście dla siebie wprost stworzeni. Nie tylko ja tak uważam.

- Kto jeszcze? - spytała zdumiona.

- Choćby Geraldine. To bystra staruszka. Nic jej nie umknie.

- Nie jest bardziej bystra niż Rupert. Boję się myśleć, co zrobi, gdy się dowie.

- Bardzo cię lubi.

- Na swój sposób. Tylko nie widzi we mnie materiału na żonę dla swojego syna.

- Kochanie - powiedział czule Robbie. - Skoro Boyd chce się z tobą ożenić, zrobi to. Nikt mu nie przeszkodzi. Już niedługo Boyd będzie potężniejszy niż jego staruszek. A z pewnością jest dużo lepszym człowiekiem.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Okolo południa Robbie wrócił do domu trochę oszołomiony.

- Dobrze się czujesz? - Leona wzięła go za rękę, jak to zwykła robić, gdy był małym chłopcem. Przypominał balonik, z którego uszło całe powietrze. W takich sytuacjach natychmiast budziła się w niej nadopiekuńcza starsza siostra, gotowa robić Boydowi wyrzuty o zbyt obcesowe potraktowanie jej młodszego braciszka.

Zaprowadziła go do ogrodu, omijając taras, na którym zgromadziła się większość rodziny okupująca wystawione tam leżaki i fotele ogrodowe.

W pewnej odległości od domu stała pergola obrosnięta pędami bujnie kwitnącej glicynii. Tu mogli porozmawiać bez ciekawskich oczu i uszu.

- Dzięki Bogu, to już za mną - westchnął.

- Boyd nie powinien być dla ciebie taki surowy - powiedziała gniewnie.

- Zasłużyłem na to. Nie obwiniaj go.

- Wyglądasz, jakby cię znokautował. Jak ty będziesz grał dziś po południu? Polo jest niebezpieczne, wymaga pełnej koncentracji.

- Leo, za skarby świata nie zrezygnuję z meczu. Muszę tylko się uspokoić. Dobry lunch z pewnością mi pomoże. Prawdę mówiąc, dawno nie czułem się tak dobrze. Zrozum, to było jak szczerą spowiedź i otrzymanie rozgrzeszenia. Boyd był wielkoduszny. Zajmie się tymi łobuzami, którzy mi grozili. Powiedział, że będą ze mnie ludzie. Powiedział też, że mam największy skarb: twoją miłość i lojalność. Doprowadził mnie tym do łez. Przysięgam ci, Leo, zaczynam nowe życie. Oboje będziecie ze mnie dumni. Wiem, że martwiłaś się z mojego powodu, że za bardzo obciążałem cię swoimi sprawami. Nie mogę wiecznie być twoim „młodszym braciszkiem”. Jestem mężczyzną, nie dzieckiem.

- Boyd ci to powiedział?

- To przecież prawda. Dlaczego masz do niego pretensje? Jest moim wybawcą. Przecież go kochasz. Powiedział mi, że się pobieracie.

- Mówił coś więcej - zająknęła się - o nas?

- Że ogłosicie zaręczyny zaraz po jego rozmowie z ojcem.

- Który nie będzie z tego powodu szczęśliwy. - Nie chciała wywołać rodzinnego konfliktu. Mógłby się odbić także na jej własnym ojcu, który miał wysokie stanowisko w firmie Blanchardów. Rupert jest pamiętliwy i nie wybacza łatwo.

- Leo, kochanie, Boyd nie dba o to wszystko. Kocha cię. Jesteś dla niego jedyną kobietą na świecie. Czy masz pojęcie, jaką jesteś szczęściarą?

- Powiedział, że mnie kocha? - spytała niepewnie.

- Nie musi. A czy ty kiedykolwiek powiedziałaś mu, co do niego czujesz? Przez całe lata próbowałaś go zmylić. Kłóciłaś cię z nim, dokuczałaś mu. Zachowywał się wspaniale. Dał ci czas, żebyś dorosła, zrealizowała się zawodowo, stanęła na własnych nogach. Jest z ciebie niesamowicie dumny, jak my wszyscy. Kogo obchodzi, co powie stary Rupe? Uczciwie mówiąc, Boyd też o to nie dba. Mam wrażenie, że nigdy nie przebaczył ojcu, że źle traktował jego matkę, choć była prawdziwą damą, a po jej śmierci ożenił się z Jinty, która wyszła za niego dla majątku.

- Jak na dwudziestolatka jesteś bardzo spostrzegawczy, Robbie.

Przyjął jej komplement jak stwierdzenie faktu.

- Dlaczego taka piękna kobieta jak Alexa wyszła za tego starego drania? Pieniądze nie wchodziły w grę, bo jej rodzina miała je od zawsze.

- Może tego nie doceniasz, ale Rupert nawet teraz jest przystojnym mężczyzną. Gdyby Jinty go porzuciła...

- Co nie nastąpi nigdy, bo bycie panią Rupertową Blanchard jest szczytem jej marzeń. Pewnie żałuje, że Australijczycy nie dostają tytułów szlacheckich od królowej brytyjskiej. Wtedy mogłaby być lady Blanchard. To dopiero byłoby coś.

- Rupert nadal mógłby przebierać w kobietach, często całkiem młodych.

- Nie uważasz, że sprzedawanie się za pieniądze jest formą prostytucji? - skomentował Robbie. - Ty nigdy byś tego nie zrobiła. Wy z Boydem pobieracie się z miłości. Mam ochotę tańczyć z radości. - Skoczył na równe nogi i wyciągnął do niej rękę. - Chodź. Umieram z głodu.

Trzy boiska do gry w polo były przez cały rok utrzymywane w nienagannym stanie. Po ostatnich wiosennych deszczach najbardziej reprezentacyjne z nich prezentowało się spektakularnie, zwłaszcza w malowniczej scenerii okolicznych wzgórz i wielkich li-

ściastych drzew. Na mecz zjechał się tłumek obserwatorów i teraz całe towarzystwo zajęło strategiczne pozycje wokół pola na kocykach, poduszkach, składanych krzeselkach, a nawet maskach samochodów. Ci, którzy przybyli za późno, by sięść w cieniu drzew, rozłożyli wielkie plażowe parasole.

Drużyna Blanchardów miała przeciw sobie drużynę złożoną z najlepszych graczy Nowej Południowej Walii. Każdy zespół składał się z czterech zawodników. Robbie, który w cudowny sposób odzyskał siły, miał na plecach wielką jedynekę, co znaczyło, że jego rolą jest atak i strzelanie goli do bramki przeciwnika. Kuzyn Petera, James, jako dwójka był w ataku wspomagającym. Miał większe doświadczenie od Robbiego i Petera. Ten ostatni jako czwórka odpowiadał za obronę. Boyd, kapitan drużyny, nosił najbardziej prestiżowy numer trzy i był najwyżej notowany spośród grających w polo Blanchardów.

Leona, korzystając z przedmeczowego zamieszania, przemieszczała się od jednej grupy znajomych do drugiej, witając się z nimi i wymieniając pochlebne dla graczy komentarze, Świetnie się prezentowali w kolorowych koszulkach - Blanchardowie w czerwonych, przeciwnicy w niebieskich - i białych obcisłych spodniach do konnej jazdy, wysokich butach kaskach i ochraniaczach. W dodatku sześciu na ośmiu graczy było kawalerami, więc wszystkie panny na wydaniu przyglądały im się z niekłamanym zainteresowaniem.

W zagrodzie stały konie, szybkie i zwinne. Ich rola w grze jest równie ważna, jak rola zawodnika. Drużyna Blanchardów miała fantastyczną stajnię złożoną z dwudziestu czterech wierzchowców, w większości klaczy. Wszystkie musiały być do dyspozycji w czasie gry. Po każdym czakerze, czyli okresie gry trwającym siedem minut, w czasie czterominutowej przerwy gracz zmienia wyczerpanego konia na nowego, pełnego sił.

Polo jest jedną z najszybszych, najbardziej brutalnych i niebezpiecznych gier zespołowych, a ze względu na wymagania jest grą ludzi bogatych. Tylko oni mogą sobie pozwolić na utrzymywanie całej stajni.

Leona czuła zdenerwowanie i podekscytowanie. Uwielbiała tę grę - szybkość, atletyczną sprawność konia i zawodnika, strategiczny geniusz czołowych zawodników. Jednak martwiła się o swoich dwóch mężczyzn.

Robbie, świetny gracz, lubił nadmiernie ryzykować, więc wydawało się cudem, że do tej pory nie skręcił karku w czasie meczu. Boyd był jeszcze lepszym jeźdźcem, dużo bardziej doświadczonym, ale i on znany był z ryzykanckich popisów na swojej ulubionej Andromedzie. Bezpośrednim przeciwnikiem Robbiego był gracz polo, który sięgał czasem do brutalnych i niezupełnie czystych środków, by zablokować przeciwnika lub utrudnić mu atak. Zapowiadał się zapały pojedynek, zwłaszcza że Boyd, który na ogół wolał wykorzystywać przewagę szybkości i strategii niż siły, także grał po to, żeby wygrać.

Leo miała na sobie białą bawełnianą bluzkę w delikatne prążki i śnieżnobiałe spodnie, zapięte w talii eleganckim granatowym paskiem. Włosy upięła w klasyczny francuski kok. Prezentowała się jak zwykle bardzo szykownie. Nawet Rupert komplementował jej wygląd. Najwyraźniej syn nie zdążył jeszcze obwieścić mu, kto jest jego wybranką, a Jinty wolała trzymać język za zębami, by nie zadzierać z pasierbem.

Tradycyjnie bliscy życzą powodzenia swoim graczom. Peter, który podszedł tuż po Robbiem, wykorzystał moment i złożył na jej ustach pospiesznego całusa. Leo wiedziała, że za chwilę języki pójdą w ruch. Kiedyś jakaś starsza ciotka z podobnej scenki wyciągnęła wniosek, że młoda dziewczyna jest z pewnością w ciąży i zdążyła podzielić się z całą rodziną ową nowiną. „Takie rzeczy się zdarzają!” było jedynym komentarzem, którym skwitowano nieporozumienie.

- Ten chłopak jest w tobie zakochany - szepnęła jej Geraldine. - Powinnaś mu powiedzieć, że jesteś już zajęta.

Zajęta? Leona oblała się rumieńcem.

- Gdzie to usłyszałaś? - Boyd zawsze był faworytem swojej ciotki. Pewnie jej powiedział.

- Jeszcze nic nie słyszałam. Ale mam oczy.

- Powiesz mi, co właściwie widziałaś? I z kim?

Geraldine ujęła jej dłoń i poklepała ją uspokajająco.

- Nie miej takiej zmartwionej miny, moja mała. Wszystko się dobrze skończy. Podejrzałam od dawna. A teraz się uśmiechnij, bo on zmierza w naszym kierunku.

- Znowu uciekasz, Kwiatuszkę? - Boyd zręcznie chwycił ją za rękę, gdy usiłowała schować się za drzewa.

- Umieram ze zdenerwowania - wyznała, patrząc w jego szafirowe oczy. - Boję się o ciebie i Robbiego. Nie zniosłabym, gdyby któremuś z was coś się stało.

- Całe szczęście, bo już myślałem, że troszczysz się tylko o Petera. Co on sobie myśli, całując cię w ten sposób!

- To było kompletnie niewinne - broniła się. - Powiedziałeś o nas Gerri?

- A zrobiła jakąś aluzję? Jej nic nie trzeba mówić. Czyta w myślach. A teraz skorzystaj z okazji i życz mi szczęścia.

Pod wpływem nagłego impulsu przyciągnęła go do siebie i pocałowała prosto w usta.

Wracając do Gerri, ignorowała zdumione twarze wokół. Na niektórych domino- wało zdziwienie, na innych chłodna kalkulacja. Rodzina już zaczęła snuć spekulacje.

- Myślisz, że jesteś taka uwodzicielska? - syknęła jadowicie Tonya. - Nie łudź się. Nigdy nie zdobędziesz Boyda.

- Ale jak on dobrze całuje - westchnęła teatralnie Leo i zajęła swoje miejsce przy Gerri.

Mecz właśnie się zaczynał.

Robbie wbił pierwsze dwie piłki tak zręcznie, że Geraldine zaczęła bić brawo.

- Fantastyczna akcja. Oczywiście to efekt taktyki Boyda, ale mały Roberto zagrał wprost genialnie.

Wkrótce stało się jasne, że Boyd, kapitan Czerwonych, ma godnego siebie przeciwnika w Barcie Ellorym, kapitanie Niebieskich. Zażarcie walczyli o zwycięstwo. Od czasu do czasu Leona przyciskała rękę do ust lub zaciskała pięści, bo sytuacja na boisku wyglądała na potencjalnie ryzykowną. Geraldine zaś przy każdej bramce zrywała się i podskakiwała jak nastolatka. W połowie meczu Czerwoni prowadzili sześć do trzech.

- Nie wiem, czy moje serce to wytrzyma - uskarżała się Leona, biorąc od kelnera szklankę zimnej lemoniady. Co za dzień! Ile osób widziało, jak całuje Boyda? Jak daleko rozeszła się plotka? Czy dotarła do Ruperta?

Ciekawe, w jaki sposób zademonstruje swoje niezadowolenie, myślała dalej.

Parę minut przed końcem meczu zawodnik przeciwnej drużyny, wyprowadzony z równowagi szybszą i przemyślaną grą Boyda, nagle zajechał mu drogę i stworzył niebezpieczną sytuację. Wydawało się, że jeździec nie uniknie upadku albo będzie zmuszony do sfaulowania przeciwnika, a tym samym cała drużyna poniesie karę. Leona nie była w stanie oderwać wzroku od sceny rozgrywającej się na boisku, choć miała ochotę zamknąć oczy. Nawet Geraldine wydała okrzyk strachu.

Boyd pokazał całe swoje jeździeckie mistrzostwo i nadludzkie panowanie nad koniem, które przypominało niemal cyrkowe pokazy hippiczne. Zatrzymał wierzchowca w miejscu i uniknął upadku.

- Możesz znowu oddychać - poinstruowała Leonę Geraldine, sama głośno łapiąc powietrze.

Oniemiały z wrażenia tłumek widzów wydał z siebie głośny wrzask zwycięstwa, odbijający się echem po okolicznych wzgórzach. W tym hałasie prawie nie słychać było gwizdka, który obwieścił zwycięstwo Czerwonych.

Nadeszła pora na popołudniową herbatę, do której podawano przekąski i ciasta. Jednak Leona po ostatnich przeżyciach miała ochotę jedynie na filiżankę mocnej kawy.

Pod wieczór wszyscy zbierali się do powrotu, zarówno rodzina, jak i goście.

- Wskoczmy razem na kolację? - spytał Robbie.

- Kanapka z sałatą i jajkami na twardo na ławce w parku?

- Nie, miałem na myśli coś bardziej wykwintnego, jak Harbour Master w Sydney.

- Zostaję, Robbie. Nigdy nie uważałam się za tchórza. Jeśli Boyd zamierza porozmawiać z ojcem, powinnam być przy nim. Jeśli nie razem z nimi w gabinecie, to przynajmniej pod drzwiami.

- Leo, kochanie, to nie koniec świata. - Robbie nigdy nie widział Leony w stanie takiego rozedrgania. - To znaczy... chyba nie wpadłaś ani nic takiego?

- Udam, że tego nie słyszałam - oburzyła się.

- Przepraszam. Bardzo cię przepraszam. Wiem, że to była chamska uwaga. Chciałem tylko powiedzieć...

- Robbie, wiem, co chciałeś powiedzieć.

- Nie bądź smutna. Pomyśl, Boyd wybrał ciebie. To najważniejsze, prawda? Nawet ten stary tyran, Rupe, mu tego nie wyperswaduje. Boyd wie, co robi. Każda inna dziewczyna na twoim miejscu nie posiadałaby się ze szczęścia.

- Jasne. - Uśmiechnęła się słabo. Wobec tego skąd to wrażenie, że stąpa po polu minowym?

Kiedy weszła do domu, okazało się, że Boyd jej szuka.

- Gdzie byłaś? Chyba nie chciałaś wyjechać bez pożegnania?

- Nigdzie nie jadę. - Wyprężyła się jak żołnierz. - Uznałam, że powinnam być przy tobie, skoro zamierzasz skonfrontować się z ojcem.

Twarz mu się rozjaśniła.

- Leo, najdroższa, jesteś ze szczerego złota. - Schylił się i pocałował ją w policzek. - Ale do niczego cię nie zmuszam. Jesteśmy w jego domu, a oboje wiemy, że nienawidzi, gdy coś staje w poprzek jego planom.

- Z pewnością nie o takiej żonie myślał dla ciebie.

- Kwiatuszk, już to omawialiśmy, ale powtórzę raz jeszcze: to ciebie chcę. Nikogo innego. I koniec dyskusji. Mamy umowę, pamiętasz?

- Niemoralny układ, jak powiedzieliby niektórzy.

- Chcesz się wycofać?

- A wtedy każesz aresztować Robbiego?

- Umów się dotrzymuje - wygłosił tonem prezesa wielkiej korporacji. - Nie wyobrażam sobie życia bez ciebie. A ty, jeśli odpowiesz szczerze, nie wyobrażasz sobie życia beze mnie.

Zanim Leona miała szansę odpowiedzieć, do pokoju wtargnęła Jinty z nieodłączną siostrą u boku. Musiały się zorientować, że przerwały im prywatną rozmowę, albo może mieli miny spiskowców przyłapanych na gorącym uczynku, bo obie stanęły jak wryte.

- Co się tu dzieje? - indagowała inkwizytorskim tonem Tonya, ignorując sygnały Jinty, która, zawstydzona jej brakiem taktu, usiłowała zapobiec awanturze.

- Nigdy nie myślałaś o karierze w policji? - spytał zirytowany Boyd.

- No nie, nie wierzę! Więc to jednak prawda?

- Obawiam się, że tak - odparł z fałszywym współczuciem.

- Ona jest w ciąży? To chyba jedyne możliwe wytłumaczenie.

Jinty zaprotestowała głośno, by pohamować siostrę, nim powie parę słów za dużo, ale twarz Boyda pociemniała.

- Jinty, zabierz proszę tego babsztyla sprzed moich oczu - polecił władczym tonem.

- Inaczej nie ręczę za siebie.

Nie musiał powtarzać dwa razy. Macocha chwyciła Tonyę pod ramię i syknęła jej do ucha:

- Wychodzimy. W tej chwili. Ale wcześniej przeprosisz za swoje niedopuszczalne grubiaństwo.

- Po moim trupie! - parsknęła tamta. - I pomyśleć, że słodka mała Leo ze złotymi lokami i tymi wielkimi zielonymi oczami okazała się zwykłą poszukiwaczką złota. Ciekawe, co na to Rupert?

- Wychodzimy! - wrzasnęła Jinty. - Modłę się od lat, żebyś się nauczyła trzymać język za zębami, ale chyba już nic ci nie pomoże.

- Sama mówiłaś... - zaczęła Tonya, jednak mocny kuksaniec rozjuszonej siostry skłonił ją wreszcie do zamilknięcia.

- Niewiarygodne! - mruknął Boyd, gdy obie kobiety zniknęły za drzwiami.

Lecz to był dopiero początek, bo jak spod ziemi wyrósł zirytowany Rupert, ściągnięty odgłosami kłótni.

- Co tu się do diabła dzieje? - zapytał. - Czy to głosik mojej żony, czy skrzeczenie pawia? - Istotnie w ogrodach można się było natknąć na te piękne ptaki.

- To była Jinty. Tonya działa jej na nerwy. - Ponieważ ojciec nie odpowiedział, Boyd zapytał wprost: - To ty ją ściągnąłeś?

- Nie będziesz mi mówił, co mam robić. To mój dom - arogancko odburknął ojciec.

- Jesteśmy w naszej rodowej siedzibie, a dom przejdzie kiedyś w moje ręce. - Boyd nie pozostał mu dłużny. - Ostrzegałem cię, że Tonya jest urodzoną intrygantką.

- Jest nieszkodliwa. Poza tym Jinty lubi jej towarzystwo - dodał nieszczerze Rupert.

- Jeśli masz trochę czasu, Leona i ja mamy ci coś do powiedzenia.

- Ależ oczywiście. - Teraz był samą słodyczą. - Chodźcie do mojego gabinetu. O co chodzi? Leo niedawno została awansowana, prawda? Nie trzeba się tak śpieszyć, moja droga. - Pogroził jej żartobliwie palcem. - Przecież masz dopiero dwadzieścia trzy lata.

- Dwadzieścia cztery - odparła i sama się zdziwiła, że głos jej nie drży.

- Chyba nie chcesz powiedzieć, że się zaręczyłaś? Młody Peter, co? - spytał konspiracyjnym tonem.

- Młody Boyd - oznajmił dobitnie jego syn.

Rupert stanął jak wryty w drzwiach gabinetu.

- To jakiś dowcip? - Odwrócił się do nich z miną, o której Geraldine mawiała, że czyni go podobnym do atakującego tyranozaura.

- Lepiej wejdźmy do środka - zasugerował Boyd, na którym przemiana ojca nie wywarła żadnego wrażenia.

Jednak Leona dygotała. Rupert był znany z bezwzględności. Multimilioner z nieograniczonymi wpływami może zniszczyć zawodową reputację jej ojca.

W ciszy zajęli miejsca w fotelach stojących wokół biurka. Twarz Ruperta była tak czerwona, jakby lada chwila miała go trafić apopleksja.

- Nie wierzę, że to dla ciebie taki szok, tato - zaczął

Boyd. - Jesteś spostrzegawczy. Wiem, że ty z Comptonami snuliście plany połączenia obu fortun przez małżeństwo moje i Chloe, ale zawsze stawiałem sprawę jasno. Lubię Chloe. Jest miłą dziewczyną i z pewnością uszczęśliwi jakiegoś mężczyznę, ale nie będę to ja.

- Do czego zmierzasz? - Rupert spojrzał na syna spod łba.

- Musisz zaakceptować fakt, że sam o sobie decyduję. Kobieta mojego życia jest Leona.

- Nie jest kobietą, tylko młodą dziewczyną. Jest twoją kuzynką. Rodziną. Nigdy tego nie zaakceptuję - wyrzucił z siebie starszy Blanchard.

- Rupercie, proszę... - Leona nie znosiła kłótni.

- Nie wtrącaj się, Leo - warknął na nią groźnie.

- Nie irytuj się tak, bo ci to zaszkodzi. Jesteś cały czerwony - ciągnęła odważnie.

- Cud, że nie jestem fioletowy! Myślałem, że jesteś inna, a okazałaś się taka sama jak wszystkie baby!

- Wystarczy, tato. - Boyd poderwał się z miejsca. - Jestem zaszczycony, że Leona zgodziła się przyjąć moje oświadczyzny. I zapewniam cię, uległa mi po wielu naciskach.

Rupert zaczął kwieciście kłąć pod nosem.

- Koniec! Ani słowa więcej! - Boyd podał rękę narzeczonej. - Idziemy, kochanie.

- Co właściwie masz przeciwko mnie? - spytała łagodnie Leona. - Możesz być rozczarowany, że twój plan nie wyszedł, ale tu chodzi o coś więcej, prawda? Sam pomysł jest dla ciebie nie do przyjęcia. Jaki jest prawdziwy powód twojej złości?

- Nie waż się za niego wychodzić. - Wpatrywał się w Leonę z natężeniem. - To rozkaz. Jeśli wiesz, co jest dobre dla twojego ojca i tego bachora Robbiego, nie ośmielisz się mi sprzeciwić. - Teraz pobladł tak bardzo, że aż się przeraziła.

- Co ty wyprawiasz! - Oczy Boyda zwęziły się w szpareczki.

- Długo poczekaasz, synu, zanim zajmiesz moje miejsce! - Rupert zaśmiał się histerycznie.

Ale spotkał równego sobie przeciwnika. Mężczyznę, którego pewność siebie płynęła z pasma odniesionych sukcesów.

- Już zająłem twoje miejsce, ojczu. Jak śmiesz grozić Leo i jej rodzinie? Nie dopuszczę do tego, żeby im spadł włos z głowy. Może cię zaskoczyła nasza decyzja, bo przez całe życie rządziłeś ludźmi, nie napotykając wielkiego oporu. Tym razem nikt cię nie poprze. Rodzina jest szczęśliwa, że to ja zarządzam firmą. To samo dotyczy akcjonariuszy. Leona jest piękną, dobrze wykształconą i utalentowaną młodą kobietą z najlepszych sfer. Zawsze byłeś wobec niej miły. O co ci nagle chodzi?

- Wasze małżeństwo byłoby wielkim błędem - powtórzył spokojniej starszy mężczyzna charakterystycznym dla siebie despotycznym tonem.

Boyd mocniej ścisnął dłoń Leony.

- Mówisz głupstwa. Nie istnieją żadne przeszkody - prawne, moralne czy towarzyskie - które by uniemożliwiały nasze małżeństwo.

- Jeśli wierzysz, że takie znasz - wtrąciła z bijącym sercem Leona - powinieneś je teraz podać.

Zapadła długa cisza. Rupert wymownie odwrócił wzrok ku portretowi Sereny, który od jej śmierci wisiał na ścianie jego gabinetu.

- Co jeszcze wymyślisz, ojcze? - W głosie Boyda zabrzmiał prawdziwy gniew. - Powiesz, że Leo jest moją przyrodnią siostrą? Na Boga, wszystko jest do ciebie podobne! Oczerniłbyś jej nieżyjącą matkę, zniesławiłbyś moją własną matkę, a wszystko po to, żeby postawić na swoim. Ale ci się nie uda. Nie miałeś romansu z Sereną, jeśli to usiłujesz sugerować! Brzydzę się tobą.

- Co tu się dzieje? - szepnęła Leona, która miała wrażenie, że strzelił w nią piorun. - Czy ja śnię?

- Usiądź, Leo. - Boyd delikatnie popchnął ją na fotel. - Spokojnie, kochanie. To tylko brudne gierki mojego ojca. Chciał uwieść Serenę, oszalał na jej punkcie, ale ona była tego całkowicie nieświadoma. Mama o wszystkim wiedziała i po latach opowiedziała mi tę historię. Serena była czarującą i niewinną istotą, wszyscy ją kochali. Nigdy w życiu nie zdradziłaby męża i najlepszej przyjaciółki, nawet gdyby wiedziała, że jest obiektem mrocznego pożądania Ruperta.

- Na pewno nie - powtórzyła cicho. Miała wtedy zaledwie osiem lat, ale zachowała obraz czarującej młodej kobiety, kochającej i radosnej, wnoszącej ze sobą światło i śmiech. Taka matka na zawsze odcisnęła się w jej pamięci. - To dlatego byłeś dla mnie miły przez wszystkie te lata? Bo ci ją przypominam?

- Jedyna kobieta, której nie mógł mieć - mówił dalej Boyd. - A ponieważ ojciec należy do mężczyzn, którzy we wszystkim muszą być lepsi od własnych synów, więc w konsekwencji zrobi wszystko, żebym ja nie miał ciebie. On żyje rywalizacją i nienawidzi przegrywać. Stosunkowo wcześniej stracił miłość mojej matki. Przejrzała go i nie była w stanie go zaakceptować. Prawda, ojcze?

- Zamknij się, Boyd! - Przystojną twarz Ruperta zniekształcił brzydki grymas.

- Czy to jest prawdziwy powód; Rupercie? Chciałeś odmówić synowi czegoś, co nie stało się twoim udziałem?

Skomplikowana natura Ruperta Blancharda składała się z samych sprzeczności. Był dumny ze swojego jedyne go syna i następcy, kochał go, a jednocześnie zażarcie rywalizował z nim w każdej dziedzinie. Ten konflikt się teraz uzewnętrznił. Boyd nie może

mieć Leony, tak jak Rupert nie miał Sereny. Nie był w stanie tego wyjaśnić. Po prostu nie potrafił inaczej.

Przez całe życie żył w potwornym stresie. Jego ojciec i od początku postawił sprawę jasno - syn musi przejąć rodzinną firmę i prowadzić ją z tą samą determinacją i wolą zwycięstwa, jakie cechowały wszystkich Blanchardów. Jego siostra Gerri mogła się poświęcić ukochanej karierze akademickiej, on nie miał wyboru. Stracił miłość pięknej żony, Alexy, i nie potrafił jej odzyskać. Jako czterdziestokilkuletni mężczyzna zakochał się po raz drugi. Jak sztubak. Oszalał z miłości. Jego wybranka nie wiedziała o niczym, ale to tylko podsycalo jego pragnienie. Nigdy nie zapomniał Sereny. Stworzył jej córce, lustrzanemu odbiciu matki, szansę na karierę. Była śliczną młodą kobietą. Teraz nie był w stanie spojrzeć jej w oczy. Nie chciał wyczytać w nich tego, co widział na obliczu syna.

Jęknął i ukrył twarz w dłoniach. Zawsze mu się wydawało, że dobrze zna swoją żonę, tymczasem okazało się, że odkryła jego sekret i nigdy mu o tym nie powiedziała. Zwierzyła się tylko ich synowi.

Nie pozwoli, by go upokarzano. Sięgnął po stojący na biurku mały kielich, trofeum z jakichś zawodów, i zmiażdżył go w rękach.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

W drodze do drzwi wyjściowych natknęli się na Jinty, która zapewne usiłowała podsłuchiwać, co się dzieje w gabinecie.

- Wszystko w porządku? - spytała niepewnie.

- Niezupełnie - oznajmił lodowato Boyd. - Ojciec nie był uszczęśliwiony.

- Spodziewał się, że ożenisz się z Chloe.

- Jeśli mu się tak podoba Chloe, powinien rozwieść się z tobą i poprosić ją o rękę.

Jestem przekonany, że by się zgodziła.

- Lubiłam Chloe, jest miłą dziewczyną - powiedziała pokojowo - ale nie dorównuje Leo. A teraz poradźcie mi, czy mam pójść do niego? Jak mogę pomóc?

- W jaki sposób chcesz pomagać, Jinty? - spytał Boyd. - Będziesz po naszej stronie?

- Oczywiście - odparła bez namysłu. - Znajdę sposób, aby przekonać twojego ojca, że dokonałeś właściwego wyboru. Powinno się udać, przecież przez cały czas naszego małżeństwa Leo była jego pupilką. Byłam nawet trochę zazdrosna. To żaden sekret, że Rupert mnie nie kocha. Dobrze się dogadujemy, to wszystko. Wiem, że do końca życia będę żyła w luksusie, ale nasz związek nie jest żadną love story. Teraz powiedz, czy mam do niego iść?

- Tylko jeśli chcesz, żeby ci odgryzł głowę. Daj mu trochę ochłonać. A przy okazji: kiedy ojciec ostatnio był u lekarza? Przyda mu się badanie. Wygląda, jakby miał kłopoty z ciśnieniem. Zwłaszcza wtedy, kiedy nie wszystko idzie po jego myśli.

- Nic nowego - westchnęła Jinty. - Mam to na co dzień. A przy okazji, przepraszam za Tonyę.

- I za cóż to? - spytał ironicznie.

- Nie potrafi poskromić języka. Pewnie dlatego jeszcze nie wyszła za mąż.

- Zapisz ją na kurs dobrych manier.

- Naprawdę życzę tobie i Leo wszystkiego najlepszego. - Jinty puściła zaczepkę mimo uszu. - Rupert nie może urządzać innym ludziom życia.

- Z pewnością mu na to nie pozwolę. Teraz chcę odwiedzić Leo do Sydney. W tym stanie nie powinna prowadzić. Niech Eddie jutro odstawi jej samochód pod dom, załatwię mu transport powrotny. Bierzymy nasze bagaże i już nas tu nie ma.

- Dokąd jedziemy? - Dopiero kiedy wjeżdżali do Sydney, ocknęła się z zamyślenia.

Boyd nie oderwał wzroku od szosy. On także był wyjątkowo milczący, za to drogę do miasta pokonał w rekordowym czasie.

- Do mnie - odparł krótko.

Nie protestowała.

Kwadrans później parkowali w podziemnym garażu starej pięknej kamienicy, która kilka lat wcześniej przeszła gruntowną renowację. Boyd miał tu dwupoziomowy apartament na najwyższym piętrze. Leona bywała w nim na przyjęciach, ale nigdy nie odwiedziła Boyda sama.

W milczeniu wsiedli do windy. Leo czuła się oszołomiona rewelacjami dzisiejszego wieczoru. Miała wrażenie, że przeniosła się w świat telenoweli wypełniony sekretami rodzinnymi, pieniędzmi, seksem i ludźmi miotanymi potężnymi namiętnościami.

A może telenowełe odzwierciedlają prawdziwy świat? Miała swoje podejrzenia w sprawie małżeństwa Alexy, jednak nigdy by nie zgadła, że w tle kryło się zauroczenie Ruperta Sereną. A Boyd wiedział o wszystkim i dotąd nie pisnął ani słowa.

- Ciągłe jesteś w szoku, co? - zapytał, gdy stanęła pośrodku mieszkania.

Delikatnie podniósł palcami jej brodę i zajrzał w oczy.

- Wiesz, że tak - westchnęła.

Przeniosła wzrok na ogromne zdjęcie australijskiego buszu rozświetlonego słońcem, ale patrzyła bezmyślnie, niczego nie widząc.

- Nic dziwnego. - Opuścił rękę. - Może miałabyś ochotę coś zjeść? Znam świetną włoską knajpkę nieopodal.

Pociągnął ją za sobą do salonu, ogromnego pokoju z sufitem na poziomie wyższego piętra i meblami współczesnych projektantów. Było to wnętrze nacechowane wyrefinowanym indywidualizmem. Bardzo męskie, bardzo nowoczesne, a jednocześnie przyjazne kobietom. Boyd kupił to mieszkanie ze względu na jego atmosferę. Znajdowało się w eleganckiej dzielnicy śródmieścia, w historycznym budynku pieczołowicie

odnowionym, ze wspaniałym widokiem na nocną panoramę Sydney. Miało wysokie sufity i smukłe kolumny, które oddzielały część kuchenną od połączonych przestrzeni jadalni i salonu. Widać było, że Boyd zatrudnił najlepszych w swej specjalności architektów, konserwatorów zabytków i dekoratorów wnętrz.

- Nie jestem głodna - mruknęła.

- Mimo wszystko powinnaś coś zjeść. Ojciec jest starym szcwanym lisem, ale nie wolno się nabierać na jego sztuczki. Ja umieram z głodu. Przed meczem nigdy nie mam apetytu, a podczas herbaty wszyscy chcieli zamienić ze mną kilka słów. Muszę się znowu poczuć człowiekiem.

- Powinieneś był mi powiedzieć.

Z westchnieniem usiadł obok niej. Nawet w prostej białej koszulce i dżinsach wyglądał niezwykle seksownie.

- Co właściwie miałem ci powiedzieć? I po co? Że przez krótki okres mój ojciec podkochał się w twojej matce, a ona nie miała o tym pojęcia?

- Wtedy rozumiałabym stosunek Ruperta do mnie. Nigdy nie widział we mnie mnie, tylko odbicie mamy.

- Wszyscy w jakiś sposób jesteśmy kontynuacją naszych rodziców - zauważył spokojnie. - Wiele osób mówi mi, że mam oczy mojej matki. Każda rodzina ma swój genetyczny odcisk palca.

- Ale pożądanie Ruperta było chore. Przecież mama miała męża i dziecko, była bardzo szczęśliwa. W dodatku przez niego cierpiała Alexa.

- Zakochanie nigdy nie jest racjonalne. Zaślepia nas. Ojciec nie zrobił niczego okropnego. Nie próbował zdobyć Sereny, nie bacząc na skutki, tak jak to ma w zwyczaju. Nie rozbił jej małżeństwa ani własnego, choć matka została z nim w dużej mierze ze względu na mnie. I chociaż nie mam w tej chwili szczególnie ciepłych uczuć wobec ojca, skłonny jestem widzieć w nim ofiarę tej całej sytuacji. Nieszczęśliwa miłość to specjalny rodzaj osobistego piekła.

- Tak myślisz?

- Wiem, bo sam czekałem na ciebie przez lata. Najpierw ją to zaskoczyło, potem radosne uczucie ustąpiło miejsca podejrzliwości.

- Myślałeś o mnie w ten sposób? W pewnym sensie nie lubisz swojego ojca, prawda?

- Nieprawda, Leo. Nie chcę nie lubić ludzi, a zwłaszcza ojca. Zawsze mnie wspierał.

- Nie w tej sprawie. Czy to kwestia rywalizacji między wami?

- Postaram się zapomnieć, że to powiedziałaś - rzekł surowym tonem.

- Muszę to wiedzieć. Cała rodzina wie, jak bezpardonowo walczyście o przywództwo.

- Do diabła! - Nie był w stanie pohamować gniewu. - To on ma potrzebę dominacji za wszelką cenę. Ze wszystkich sił staram się być dobrym synem i godnym dziedzicem nazwiska. Wiem, że dziadek był despotą i mój ojciec miał bardzo trudną młodość. Był poddany stałej presji, by spełniać oczekiwania, które miała wobec niego rodzina. Rozumiem go, bo sam jestem poddawany podobnej presji. Jednak moja sytuacja jest inna. Nie walczę z własnym dziedzictwem, a w przypadku ojca chyba tak było. Bogate dzieciaki też cierpią z powodu deficytów emocjonalnych w ich rodzinie. Powinnaś coś na ten temat wiedzieć.

- Wiem, chociaż nie byłam bogatym dzieckiem.

- Ale należysz do rodziny.

- Fakt, że wzięłeś mnie pod swoje skrzydła, wystarczał, żebym należała do elity. W dodatku noszę nazwisko Blanchard.

- I tak zostanie - stwierdził autorytatywnie.

Miała ochotę oprzeć się o niego, poczuć się malutka, bezbronna i jednocześnie bezpieczna pod jego skrzydłami. Jednak nie potrafiła zerwać z wyrobioną przez lata potrzebą demonstrowania swojej niezależności.

- A dlaczego to?

- Bo ja tak mówię.

- I dlatego muszę za ciebie wyjść? - To było głupie, ale nie potrafiła się powstrzymać. Naśladując sposób mówienia starszych kuzynek, ciągnęła: - Leo jest jedną z nas, będzie wiedziała, jak się zachować i czego się po niej oczekuje. Leo nie jest taka zła,

nigdy nie miała żadnych wyskoków. - Zmieniła ton. - To wszystko mnie przeraża. W dodatku przed nami batalia z Rupertem.

- Ojciec nie będzie próbował mi przeszkodzić. A jeśli nawet, przegra po raz pierwszy w życiu.

- Drugi. - Zaśmiała się nerwowo. - Nie udało mu się z moją matką.

- Liczy się tylko to, że ja zamierzam być z tobą do końca moich dni.

- Nie będę udawać, że zachwycają mnie twoje interesowne oświadczenia. Układ raczej: moja ręka za milczenie w sprawie Robbiego.

- Boże, zupełnie zapomniałem o Robbiem, choć zadziałał w tej sprawie jak katalizator. Dzięki niemu złapałem cię na gorącym uczynku.

- Przecież oddałam brylanty!

- Nonsens. Nigdy ich nie ukradłaś. Kochasz brata tak bardzo, że wzięłabyś na siebie całą winę. Czas na nową odsłonę, Leo. Robbie musi przestać odgrywać skrzywdzonego chłopczyka, wyzbyć się uzależnień. Ostrzegłem go, że następnym razem nie ujdzie mu na sucho. Teraz najwyższy czas przejść się i zjeść kolację. Wyglądasz pięknie jak zwykle, ale jesteś trochę blada.

Nocne powietrze działało jak balsam. Niebo usiane było gwiazdami. Migotały nad zatoką jak rozsypane na aksamicie małe diamenty. Po drodze do restauracji mijali spacerujące pary i można było pomyśleć, że cały świat jest zakochany. Jasno oświetlone witryny drogich sklepów wabiły do siebie przechodniów. Skądś dobiegała muzyka - stara melodia w nowoczesnej aranżacji. Młodzi kochankowie zapatrzeni tylko w siebie oplatali się ramionami.

Włoska knajpka, o której mówił Boyd, okazała się miłym miejscem. Goście delektowali się jedzeniem. Leona wypila dwa kieliszki świetnego czerwonego wina i poprosiła swego towarzysza o trzeci. Zazwyczaj piła niewiele, ale tym razem nie planowała prowadzenia auta, a trunek skutecznie koł jej nerwy. Wykończyli jedną butelkę i zamówili kolejną. To znaczy, że będzie musiała zamówić taksówkę, by dotrzeć do domu, choć Boyd sprawiał wrażenie zupełnie trzeźwego.

Niewielkie, ładnie przycięte drzewa, które otaczały wewnętrzne patio, były owinięte sznurami kolorowych lampek. Ten widok także sprawiał jej przyjemność. Nie znała

tej restauracji, a bardzo jej się podobała. Obsługa była sprawna, ale dyskretna, i wychodziła ze skóry, by ich zadowolić. Najwyraźniej Boyd był znany z dużych napiwków.

- Lepiej się czujesz? - spytał.

- Oczywiście. To bardzo miłe miejsce.

- Będzie naszym sekretem - uśmiechnął się.

- O nie, zamierzam tu przyprowadzać znajomych. Oni powinni zyskać rozgłos.

- Twoi znajomi?

- Nie, głuptasie. Szefowie kuchni w tej restauracji. Jak właściwie mam się dostać do domu. Pieszko?

- Jestem przekonany, że to dla ciebie pestka. Wyglądasz jak eteryczna senna zjawa, a w istocie jesteś bardzo sprawna fizycznie.

Dał znać kelnerowi, zapłacił platynową kartą i dodał sowity napiwek za obsługę. Kiedy już podnieśli się i spacerkiem ruszyli przed siebie, powiedział:

- Pomyślałem sobie, że mogłabyś zostać na noc.

Miała wrażenie, że jej serce dwa razy szybciej pompuje krew. Nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- Nie myśl, że chcę cię zaciągnąć do łóżka - tłumaczył się. - Po prostu byłbym dużo spokojniejszy, kiedy będziesz w zasięgu wzroku.

- Nie zostanę na noc, to wykluczone! - zaprotestowała gwałtownie.

Jeszcze chwila i straci kontakt z rzeczywistością. Jakie to żalosne, kochać tak bardzo kogoś, kto nie chce lub nie może odpowiedzieć tym samym. Jak ma ukrywać swoją miłość do Boyda, przebywając w jego towarzystwie? Miłość jest okropną rzeczą.

- A ja myślę, że to bardzo dobry pomysł. Przeżyłaś szok, a mój ojciec potrafi być bardziej gruboskórny od nosorożca.

- Jest w nim jakaś wewnętrzna pustka. Jinty nie potrafi zaspokoić jego potrzeb emocjonalnych. Prawdopodobnie po naszym wyjeździe rozpętała się awantura. Rupert jest pod stałą opieką doktora Morse'a? - spytała.

Przypomniała sobie jego niezdrową cerę i szkliste spojrzenie.

- Ojciec od lat bierze środki na obniżenie ciśnienia. Niestety, pije jednocześnie za dużo, co pewnie likwiduje efekt leków. Ma też szczególne upodobanie do kubańskich cygar. Namawiałem go, żeby z nich zrezygnował, ale mnie nie słucha.

- A jeśli będzie miał atak serca? Może powinniśmy mu ustąpić? Nie upierajmy się przy ślubie, przynajmniej na razie. Dajmy mu więcej czasu na przyzwyczajenie się do nowej sytuacji.

- Mowy nie ma - uciał dyskusję Boyd. - Niczego nie odwołam, bo tego właśnie chcę. Musisz się przyzwycząić, że teraz jesteś moją narzeczoną. Wesele zrobimy za kilka miesięcy, wybierzesz termin. Co ty na to?

- Boyd, nie dam rady - jęknęła.

- Dlaczego? - spytał, bawiąc się niesfornym puklem jej włosów.

- Twój ojciec powinien urodzić się satrapą. Co będzie, jeśli po nim odziedziczyłeś skłonność do tyranizowania otoczenia?

- Będę miał ciebie, a ty już się zatroszczysz, żeby mi się w głowie nie przewróciło. A poza tym, czy znasz lepszego kandydata na męża ode mnie?

- Nie myślałam o małżeństwie - skłamała. - Koncentruję się na karierze zawodowej.

- Leo, wiem, ile dla ciebie znaczy praca. Jesteś w tym dobra. Bea jest znana z tego, że zmienia asystentów jak rękawiczki, a na twój temat wygłasza peany.

- No cóż, mam doświadczenie z ludźmi, których inni się boją.

W mieszkaniu Boyda Lea nie była w stanie usiedzieć na miejscu. Krążyła, zapalając i gasząc światła, przyglądając się chińskim rzeźbom z brązu i chwając elegancję i komfort wnętrza.

- Widać twoją twórczą współpracę z architektami i dekoratorami. Efekt jest spektakularny. Odzwierciedla twoją osobowość. I to mieszkanie jest ogromne, cztery razy większe od mojego.

Boyd rozsiadł się wygodnie na kanapie i obserwował ją z wyraźną przyjemnością.

- Takie miało być. Przestronne, jasne i projektowane z prostotą.

- Nie zazdroszczę ci. Kocham swoje mieszkanie. Chloe bywała u ciebie? Zostawała na noc?

- Chloe? Kto to? Nigdy o niej nie słyszałem.
- Obawiam się, że ja słyszałam. Wiele osób będzie zadawać niewygodne pytania.
- Zajmę się tym. Nigdy niczego nie obiecywałem Chloe...
- Myślałam, że jej nie pamiętasz?
- Nigdy żadnym słowem i zachowaniem nie dałem jej do zrozumienia, że planuję

małżeństwo.

- Więc była tylko jedną z twoich wielu dziewczyn?

- Gdybym cię lepiej nie znał, pomyślałbym, że jesteś zazdrosna.

- Absolutnie nie! Ale na mnie już najwyższy czas.

- Deszcz leje, a ty nie masz parasola.

- Więc jakim cudem widzę gwiazdy?

- Chodź tu i usiądź. - Poklepał poduszkę obok siebie. - Tylko porozmawiamy. To ja, Boyd, pamiętasz? Zachowujesz się tak, jakbyś oczekiwała, że wciągnę cię w jakieś perwersyjne seksualne igraszki.

- Jestem dziewczyną pracującą - wyjaśniła. - Muszę wrócić do domu, przygotować strój na jutro. Bea oczekuje, że będę chodzącą reklamą naszego Domu Mody.

- Trudno sobie wymarzyć lepszą. Nie martw się, obudzę cię rano. Ja też mam zebranie rady nadzorczej o wpół do dziewiątej.

- Gdybym tylko rozumiała, czego naprawdę się po mnie spodziewasz... - Potrząsnęła głową, a jej włosy utworzyły płonący obłok wokół twarzy. - Pewnych rzeczy mogę się domyślać.

- Powiedz, jakich? - Wyraźnie ją prowokował.

Miała poczucie, że widać po niej, jak bardzo chce być przytulana i dotykana. Teraz. Przez niego. Zmobilizowała wszystkie siły, by nie ulec własnym popędom.

- Dziękuję, ale nie. Wezwij taksówkę.

- Jeśli tego sobie życzysz. Ale nie puszczę cię samej. Pojadę z tobą i wrócę tą samą taksówką.

- To nie będzie konieczne. - Jak powstrzymać od erupcji krew rozpaloną niczym lawa?

- Mimo wszystko tak zrobię - uparł się.

Ruszyła w kierunku holu, a gdy odkręciła się na pięcie, okazało się, że był tuż za nią. Niemal na siebie wpadli. Pochwycił ją w ramiona, jakby była spełnieniem wszystkich jego pragnień.

- Już dłużej nie mogę. Nie wytrzymam bez ciebie ani sekundy.

Rozchyliła wargi. Nie chciała słów, tylko czynów. Teraz liczyło się jedynie to, że ich oddechy się mieszają, usta zbliżają, a kontaktowi fizycznemu towarzyszy uczucie przypominające ekstazę.

Miłość upaja i porywa. To siła, która zmiata wszelki opór i udawanie. Słowa okazały się niepotrzebne. Obejmowali się jak tonący koło ratunkowe, a intymna bliskość z każdym oddechem stawała się bardziej naturalna. Poeci piszą tak wymownie o umieraniu z miłości i jej słodczy, jednak w tej chwili Leonie brakowało słów, by nazwać powódź emocji, która zmyła wszystko inne, pozostawiając jedynie Boyda i pragnienie, by do końca życia być razem z nim.

Wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni. Kiedy już leżała na prawdziwie królewskim łożu przykrytym perłowoszarą narzutą, pochylił się nad nią i oparł ramiona po obu stronach jej głowy.

- Chciałbym cię tu na zawsze zatrzymać, taką jak w tej chwili. Śpij dziś ze mną.

- Prosisz mnie o moją duszę.

Ciało już miał. Wpatrywała się w te szafirowe oczy. To Boyd, mężczyzna, którego znała i kochała, odkąd pamięta. Może już w gwiazdach było zapisane, że się w nim zakocha? Świat wirował w oddali. To nie miało nic wspólnego z wypitym przy kolacji winem. Była pijana miłością.

- Czy kobieta staje się mniej warta, gdy się prześpi z mężczyzną? - spytała cicho.

- Jak możesz w ogóle o to pytać?

- Posłuchaj mnie, Boyd. To ważne. - Miała oczy pełne łez. - Jeśli to zrobimy, nie będzie się można cofnąć. Coś się nieodwracalnie zmieni.

- Najdroższa Leo - odparł czule. - Nie cofnąłbym się, gdyby od tego zależało moje życie. Wszystko, co mam, wszystko, czym jestem, wszystko, czym mam nadzieję być, składam teraz w twoje ręce.

Jego słowa, spojrzenie, niski i tkliwy ton... Nie tylko jej serce, ale życie należą do niego.

- Jesteś moja, Leo, a ja twój - powtórzył.

Czy jest większy komplement? Mocniejsza deklaracja? Nie wątpiła w jego szczerść. Oparta o jedwabne poduszki, z odrzuconymi do góry ramionami, była niesamowicie zmysłowa, choć nie zdawała sobie z tego sprawy.

- Nie opieraj się. Nie walcz ze mną. Z nami. Proszę, tylko nie teraz - błagał, głaszcząc jej włosy.

Pochylił się niżej i pocałował jej drżące wargi.

- Leo, za taką chwilę z radością będę znosić wszystkie twoje przekomarzenia i złośliwości, choć jestem przekonany, że to tylko poza, którą przyjąłeś w okresie dojrzewania. Miała odwracać uwagę od twoich uczuć, prawda? - Westchnął jak człowiek, który zrzuca z siebie ciężar. - Boże, co za dzień! Nie byłem w stanie odwiedzić cię do domu. Chcę, żebyś ze mną była. Nareszcie. Czy mogę cię rozebrać? - Jego głos był tak pieszczotliwy, że nie była mu w stanie niczego odmówić. - Pozwalasz mi? Możemy się dzisiaj kochać?

- Tak - szepnęła prawie niedosłyszalnie.

- Wiesz, jaki jestem przerażony? - Jego namiętność była tak paląca, że ona też rozpływała się w jej ciepłe. - Skarbie, ze mną jesteś bardziej bezpieczna, bardziej wolna, niż z jakimkolwiek innym mężczyzną. - Zupełnie jakby czytał w jej myślach. - Nie musisz się niczym martwić. Chcę tylko dać ci tyle szczęścia, na ile zasługujesz. A więc od czego zaczniemy? Może od bluzki? Jak ja nie znoszę tych małych guziczków.

- Nie możesz ich oderwać. Ta bluzka kosztowała majątek - próbowała zażartować.

- Tak też wygląda. Podoba mi się sposób, w jaki się ubierasz. Podobają mi się wszystkie twoje fryzury. Kocham twój głos. Podziwiam twój wdzięk.

Jego komplementy mogły zawrócić w głowie, chociaż Boyd zawsze zwracał uwagę na jej wygląd i mówił miłe słowa. Nie miała zamiaru o to pytać, ale nagle jej się wyrwało:

- Z iloma kobietami spałeś?

- Teraz nie pamiętam żadnej. - Zdjął wreszcie bluzkę i dotknął jedwabnego staniczka. - Bardzo ładny. Wręcz wyzywający, panno Blanchard. Ciekaw jestem, czy majteczki należą do kompletu.

- Lubię ładną bieliznę. - Serce trzepotało się jak ptak trzymany w dłoni. - Muszę ci coś wyznać. Spałam z Markiem Tylerem. - Już, wyrzuciła to z siebie. Zaufanie buduje się na szczerości.

- Wiem - szepnął.

- Wiesz o wszystkim? - Oblała się rumieńcem.

- Tak.

To był jej pierwszy raz. Długo się zastanawiała, zanim podjęła decyzję. Mark był delikatnym, czułym młodzieńcem, ale w rezultacie ta noc okazała się pomyłką. Później nie mogła zrozumieć, czemu ludzie robią tyle szumu wokół seksu. Jej pierwsze doświadczenie było odwróceniem stereotypu. To Mark był bliski łez, gdy nie pozwoliła mu przenocować i kazała wracać do domu.

Cóż, serce Leony dawno należało do kogoś innego. Skoki w bok nie sprawiały jej przyjemności. Jediną osobą, której pragnęła, był od początku Boyd.

- Kiedyś, na swoje nieszczęście, wpadłem na niego w barze. Był pijany. Przez dwie godziny wypłakiwał się na moim ramieniu z powodu waszego rozstania. Uwielbiał cię.

- Naprawdę? - Na chwilę zaparło jej dech, bo Boyd nie przestawał jej pieścić. - Nie czekał długo, żeby się zaręczyć z inną. Ty miałaś liczne romanse. Jako dwudziestolatka postanowiłam, że najwyższy czas mieć własne przygody. Tylko dwie, więcej nie było. Żaden chłopak mnie nie pociągał. Byłeś jak przekleństwo, które ktoś na mnie rzucił w dzieciństwie.

- Nie mów tak! - Położył jej palec na ustach.

- Przepraszam. Powinnam powiedzieć: błogosławieństwo. W zasadzie nie mam wielkiego doświadczenia. Nic, co mogłoby się równać z twoim.

- Kochanie - spojrzał na nią z tkliwością i troską - jesteś jedyną kobietą, której pragnę. Jestem półprzytomny z pożądania, ale jeśli chcesz, żebym przestał...

- Pocałuj mnie - odparła, przyciągając do siebie jego ciemną głowę. - Natychmiast mnie pocałuj. - Czowała się silna i upragniona. Może nawet to ona ma przewagę?

Śmiech Boyda był przepelniony radością.

- Wycaluję każdy centymetr kwadratowy twojego ciała, ale najpierw muszę się uporać z tymi ciuszkami.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Leona przysłała do pracy punktualnie. Była w takiej euforii, że działała zupełnie automatycznie. Trzeba dni, tygodni, nawet lat, by wróciła na ziemię. Nie zdziwiłaby się, gdyby ktoś jej zwrócił uwagę, że włożyła zakieciak od Gucciego podszewką na wierzch.

Wpłynęła do biura jak osoba, która frunie w powietrzu. Uśmiechała się i kiwała ręką do wszystkich, ale zawsze miała uśmiech dla współpracowników, więc to nie wzbudziło zdziwienia.

- Dobrze, że jesteś. Bea chce cię natychmiast widzieć - ucieszyła się na jej widok Sally, sekretarka.

Wyglądała na zdenerwowaną, bo dyrektorka Domu Mody potrafiła wprowadzać pracowników w stan lekkiej hysterii.

- Mówiła, po co?

- Leo, przecież Bea nie zniża się do takich śmiertelników jak ja. Wyglądała tak ja-koś... Na zmartwioną, przygnębioną. Możesz w to uwierzyć? Zwykle zachowuje się jak Pan Bóg.

- Wobec tego idę do niej. Dobrze wyglądam? - zapytała, widząc, że Sally nie odrywa od niej oczu.

- Wyglądasz wręcz zjawiskowo! - odparła sekretarka ze szczerym entuzjazmem.

Na Leo wszystkie kreacje wyglądały jak dzieła sztuki. Miała niepowtarzalny styl. Zestawiała ze sobą różne rzeczy - kolory, paski, apaszki - i powstawała harmonijna całość. Sally pomyślała, że nigdy nie miałyby na to odwagi, a i efekt byłby inny.

- Jesteś wprost rozświetlona od środka.

- Dzięki. Sama nie wiem, jak mi się to dziś udało.

- Długa noc?

- Coś w tym stylu. - Najlepsza noc w jej życiu.

Nie liczyła, ile razy się kochali, za każdym razem z niemalejącą żądzą i coraz większą swobodą. Miała wrażenie, że jest przesycona Boydem. Im więcej dostawała, tym mocniej pragnęła. Żadne doznanie na świecie nie mogło się równać orgazmowi w jego ramionach. O tym pisali poeci, ale nawet ich słowa nie oddawały rzeczywistości.

Desperacko marzyła o miłości, bojąc się jej równocześnie. To, co jej się w życiu przydarzyło, było spełnieniem marzeń każdej kobiety. Teraz do szczęścia brakowało jej jedynie paru godzin snu, a potem przebudzenia u boku Boyda.

- Siadaj, Leo. - Bea miała dziwny głos, jakby się przeziębila. Była również zasę-
piona.

- Mamy problem? - spytała Leo.

Czyżby Rupert zadziałał tak szybko?

- Od początku wiedziałam, że się kochasz w Boydzie. - Bea zaśmiała się słabo.

- Możesz to powtórzyć? Albo nie. Mam to wypisane na czole?

- A dlaczego miałabyś być inna niż wszystkie? Ja sama się w nim durzę. Nie spo-
tkałam podobnego faceta w żadnym zakątku świata.

- Więc o co chodzi? Wyglądasz na zmartwioną.

Bea wyciągnęła z górnej szuflady lusterko i przejrzała się krytycznie.

- Dobry Boże! Jest tak, jak podejrzewałam. Coraz trudniej wyglądać na tyle do-
brze, żeby się móc zaprezentować ludziom. Słowo daję, czasem przypominam ogrodo-
wego krasnała przebranego w *haute couture*. Leo, tworzymy dobry zespół, prawda?

- Jesteśmy pokrewnymi duszami. Wiesz, że cię Kocham i podziwiam.

Bea uważana była w świecie biznesu za żelazną lady, ale teraz zadrżały jej wargi.

- Powiem prosto z mostu. Wczoraj w nocy zadzwonił nasz pan i władca.

- O której?

- Czy to ważne?

- Właściwie nie. Rupert nie marnuje czasu. Chce, żebyś mnie zwolniła?

- Nie, pewnie uznał, że byłoby to złamanie prawa pracy. Chce, żebym cię awanso-
wała.

- Niech zgadnę. Planuje otwarcie butików Domu Mody Blanchardów w środkowej
Mongolii?

- Ciepło. Chce, abyś przejęła kierownictwo po Rosie Quentin w naszym sklepie w Perth. Tak się składa, że ona jest blisko emerytury i od pewnego czasu myślimy o następczyni. Oczywiście, z hojną odprawą. Rosie nie odeszłaby po cichu bez sowitej rekompensaty.

- I zsyłka na drugi koniec kontynentu ma mnie oderwać od Boyda?

- Mądra z ciebie dziewczynka. Powiedział, że chce cię wyekspediować jak najdalej stąd, i że to polecenie służbowe!

- Nie interesuje mnie, co mówi Rupert. Boyd zapewniał, że moje stanowisko jest niezagrożone. A ty, czy nadal chcesz ze mną pracować, Beo?

- Moja droga... - Bea zmarszczyła brwi, aż niemal zetknęły się ze sobą. - Chyba wiesz, że wychowuję cię na moją następczynię? Po co niby tyle od ciebie wymagam?

- Dziękuję. Doceniam to. W świecie mody nikt ci nie dorównuje.

- Parę osób próbowało. - Machnęła ręką z lekceważeniem. - To prawda, jestem geniuszem.

- Nie ma drugiej takiej - powtórzyła Leo. - Pozwól, że powiem Boydowi o naciśkach.

- Kochanie, chyba nie chcesz stanąć między ojcem a synem? Rupert z pewnością dostanie zawału.

- Jest jeszcze mój ojciec - westchnęła Leo.

- To prawda. - Bea знаła bezwzględność Ruperta. Będzie chciał zemścić się na każdym, kogo uzna za swojego przeciwnika. - Masz rację, musimy się przygotować do obrony. Porozmawiaj z Boydem.

Leona musiała poczekać na koniec posiedzenia rady nadzorczej. Wiedziała od Boyda, że Rupert nie brał w nim udziału. Wjechała na najwyższe piętro wieżowca Blanchardów i zabijała czas, wyglądając przez wielkie okno na panoramę miasta, podczas gdy Boyd kończył rozmawiać z dwoma najważniejszymi poplecznikami swego ojca. Jednym z nich był Jack Compton, ojciec Chloe.

- Witaj, Leono! - Stewart Murray, bankier, który mimo sześćdziesiątki na karku nadal prowadził życie bogatego playboya, powitał ją z wylewną serdecznością. - Wyglądasz czarująco. Ach, te rudowłose ślicznotki.

- Dziękuję, panie Murray. Mnie też miło pana widzieć. A co u pana, panie Compton?

- W porządku, Leono. Mówiłem właśnie Boydowi, że Chloe wraca w najbliższy poniedziałek. Musimy się koniecznie umówić na kolację.

- Przemięły pomysł - odparła uprzejmie, wiedząc dobrze, że żadna kolacja nie dojdzie do skutku, bo Compton wkrótce się dowie, że niedoszły narzeczony jego jedynaczki wybrał właśnie Leonę.

Boyd czekał na nią w drzwiach gabinetu. Miał na sobie drogi garnitur, dopasowany jak rękawiczka. Był wysoki, szczupły i trzymał się nienagannie prosto. Wyglądał jeszcze lepiej niż ich czołowi męscy modele, cieszący się międzynarodową sławą.

- Zgadzam się ze Stewartem. Nie ma piękniejszych kobiet niż rudowłose. Wejdz. Coś się stało?

- Muszę z tobą porozmawiać. - Leona zamknęła drzwi. - To pilne.

- Nie pozwolę ci zmienić zdania, Leo - ostrzegł.

- Nie o to chodzi.

- Nic poza tym nie jest ważne. - Wyciągnął rękę.

- Czekaj. Musisz mnie wysłuchać. Boję się, że Rupert będzie się mścił na tacie.

Wyrzuci go z pracy, przesunie czy zdegraduje.

- Myślałem, że już ustaliliśmy, iż wszystkiego dopilnuję.

- Bea powiedziała mi, że wczoraj w nocy dzwonił do niej Rupert. Kazał jej wysłać mnie do Perth. Na stałe.

- Oszalałaś?

- Nie ja. Twój ojciec. Perth jest pięknym miastem, a ja uwielbiam Zachodnią Australię.

Boyd uciszył ją pocałunkiem. Odpowiedziała mu tym samym. To było teraz jej ulubione zajęcie.

- Porozmawiam z nim - oświadczył.

- Ojciec Chloe zasugerował, żebyśmy wszyscy poszli na kolację. Zdaje się, że czeka go niemiłe zaskoczenie.

- Nie robiłem mu złudzeń. Powiedziałem ci wczoraj.

- Wiem. Wierzę ci.

- Dziękuję.

- Jednak mimo to ludzie biorą swoje marzenia za rzeczywistość. Zamiast utwierdzenia Comptona w mylnym przeświadczeniu, Rupert powinien ściągnąć go na ziemię.

- Zostaw to mnie.

Dzień był szalony. Bea skrytykowała wszystkie zdjęcia z ostatniego pokazu mody. Zmiotła ze stołu odbitki - w gruncie rzeczy świetne - w geście absolutnej frustracji. Nie podobało jej się nic: modele i modelki, lokalizacja w bajecznie tropikalnej scenerii Queenslandu, najnowsza kolekcja. Krzywiła się, marszczyła brwi i prychała, jakby zapominając, że osobiście wszystko wybierała.

- Mam pomysł! - Leo gotowa była spróbować wszystkiego, by zadowolić Beę. Myślała już o zdjęciach na cmentarzu albo w remizie strażackiej. - Zabierzmy ich pod Uluru.

Kontrast między wyrafinowaną miejską modą a unikalną czerwoną skałą i surowym pięknem buszu w centralnej części Australii będzie szokujący.

Czarne oczy Bei ożywiły się gwałtownie.

- Dlaczego sama o tym nie pomyślałam! - I nagle wpadła w euforię. - Na co jeszcze czekacie - poganiała współpracowników.

Dużo później Leona znalazła chwilę na telefon do Robbiego. Mieli razem odebrać rodziców z lotniska.

- Do czego ci jestem potrzebny? - marudził. - Twój ojciec przez wszystkie te lata nie powiedział do mnie więcej niż pół tuzina zdań.

- Mnie też nie rozpieszczał. Poza tym nie chcę sama koczować na lotnisku. Nastaw sobie budzik.

- Może po prostu się nie położę i przeczekać do rana.

- Nie, jeśli masz ładnie wyglądać. Mam ci coś do opowiedzenia.

- Coś dobrego?

- Rupert chce przeszkodzić weselnym planom. Pokłócił się z Boydem.

- Szkoda, że tego nie widziałem! Nie martw się o starego Rupe'a. Na twoim miejscu projektowałbym suknię ślubną. Coś wytwornego i wyrafinowanego. Długi welon,

dwie dziewczynki sypiące kwiatki. Cały kontynent będzie to oglądał. Oczywiście, muszę być twoim drużbą. Świetnie się spiszę przy usadzeniu gości. - Przestał paplać i zapytał nieśmiało: - Bo chyba nie chcesz złamać mi serca?

- Oczywiście, że chcę tylko ciebie - zapewniła pospiesznie.

- Pełnokrwisty Blanchard może być świadkiem pana młodego - zaoferował wy-lewnie. - Boyd zasługuje na medal. Rozprawił się z gangsterami, którzy mi grozili. Wy-obrazasz sobie? Jestem bezpieczny! Nie muszę chodzić kanałami.

- I tak trzymaj - przykazała mu surowo.

- Przysięgam ci, Leo. Nigdy już nie zagram na wyścigach. Dostałem nauczkę. Mo-głem wylądować w policyjnej bazie danych, prawdopodobnie jako najprzystojniejszy po-dejrzany, a zamiast tego okazano mi miłosierdzie i dostałem drugą szansę. Teraz chcę zasłużyć za szacunek i zaufanie osób, które mnie kochają. Muszę świecić przykładem, bo przecież będę ojcem chrzestnym twojego pierworodnego. I jeszcze jedno. Postanowiłem pojechać do Włoch i odnaleźć ojca.

- To świetna decyzja, Robbie - uśmiechnęła się szeroko. Niewykluczone, że okaże się, iż Delia, by zemścić się na byłym mężu, utrudniała mu kontakty z synem.

Ojciec Leony i Delia spodziewali się powitania na lotnisku, ale ich twarze nie wy-rażały radości ani wdzięczności.

- Czy nie powinieneś być na wykładach, Roberto?

- Dopiero o jedenastej, mamó. - Uściskał ją, wywołując protest, że zniszczy praco-wicie ułożoną fryzurę.

- Nie powinnaś się fatygować, Leono. Mogliśmy wziąć taksówkę - mówił sztywno ojciec.

- To żaden problem. - Miała ochotę nim potrząsnąć.

Ten przystojny, dystyngowany mężczyzna w niczym nie przypominał kochającego ojca, którego pamiętała z wczesnego dzieciństwa. Czasem myślała, że prawdziwy Paul Blanchard umarł z jej matką, a jego miejsce zajął mechaniczny sobowtór.

- Małżeńskie zlodowacenie - mawiał Robbie. - Matka jest w tym mistrzynią.

- O rany, chyba i tak nie obejdziecie się bez taksówki na ten cały bagaż - mruknął teraz. Delia wskazywała kolejne walizki, które trzeba było zdjąć z taśmy. - Ciekaw jestem, jakie prezenty przywieźliście dla Leo i dla mnie. Ubrania? Szwajcarskie zegarki?

- Daj spokój, Roberto. Czego jeszcze mógłbyś od nas chcieć?

- Co powiesz na bilet w dwie strony do Rzymu?

- Dlaczego do Rzymu? - Delia wyglądała na wstrząśniętą tym pomysłem.

- Chciałbym odświeżyć znajomość z ojcem. Pamiętasz go, mamó? Carlo D'Angelo. Ostatnio, kiedy go widziałem, uciekał z naszego domu, a ty ciskałaś za nim wszystkim, co ci wpadło w ręce.

- Milcz! - rozgniewała się. - Twój ojciec był żalosalną kreaturą. Porzucił nas. - Wyglądała, jakby dopadły ją nagłe mdłości.

- Chodźmy stąd - wtrącił niespodziewanie Paul. - Delio, nie rób scen. Ludzie patrzą. Skoro Robbie chce spotkać swojego ojca, nikt nie ma prawa mu przeszkodzić.

Robbie przez moment wyglądał jak rażony gromem, po czym rozjaśnił się w uśmiechu i podniósł pięść w geście triumfu.

- Kawy? Herbaty? - zaproponowała Leona kwadrans po tym, gdy dojechali do domu ojca i Delii. Robbie pożegnał się z nimi wcześniej.

- Marzę tylko o własnym łóżku. Lot z Hongkongu był koszmar - odmówiła Delia.

- A ty, tato? Chciałabym z tobą porozmawiać.

Delia zaśmiała się, jakby Leona powiedziała coś absolutnie niedorzecznego.

- Nie teraz, Leono. Twój ojciec i ja musimy się przyzwyczaić do różnicy czasu. To chyba oczywiste.

- Czuję się świetnie - wtrącił Paul. - O czym chcesz porozmawiać?

- To bardzo osobista sprawa.

- Doprawdy? - Delia spojrzała na nią z dezaprobatą. - Czy to znaczy, że mnie tu nie chcecie?

- Nie będziemy ci przeszkadzać w wypoczynku - odparła słodko Leona. - Wyglądasz mizernie. Napijesz się herbaty, tato? Chodźmy do kuchni, wszystko ci opowiem.

- Ty i Boyd? - Paul Blanchard wyglądał na zbitego z tropu rewelacjami córki.

- Tak, tato. Oświadczył mi się, a ja go przyjąłem, nawet jeśli wydaje ci się to niewiarygodne.

- Leono - westchnął - przecież wszyscy wiemy, jakie plany miał Rupert. Córka Comptonów. To niemal przyklepana handlowa transakcja. Połączone dynastie. Obaj ojcowie liczyli na to, że młodzi mają się ku sobie.

- Chyba nie sądzisz, że Boyd pozwoli ojcu wybrać sobie żonę? Jest mężczyzną, a nie mięczakiem.

- Och, Leono, przecież dobrze go znam i go cenię. Wszyscy w firmie jesteśmy o Boydzie najlepszego zdania. Nie musi niczego udowadniać ojcu, bo już go przerósł. Powinien formalnie przejąć koncern Blanchardów. Większość rady nadzorczej go poprze. Trochę mi żal Ruperta. To boli, detronizacja przez własnego syna. Jeśli Boyd ożeni się z tobą, jego konflikt z ojcem jest nieunikniony, a to spowoduje głęboki rozłam w rodzinie. Czy na to właśnie usiłujesz mnie przygotować? Rupert będzie się starał przeszkodzić waszemu związkowi?

- Wszelkimi sposobami. - Wpatrywała się w listki herbaty na dnie filiżanki. - Jest przyzwyczajony do forsowania swoich decyzji, tratując po drodze ludzi, ale z Boydem mu się nie uda.

- Masz rację, moja droga. Tym bardziej będzie wściekły. Ten człowiek jest absolutnym despota, uzależnionym od władzy. Może mi zaszkodzić, bo jego wpływy czynią każdego z nas podatnym na atak, ale nie martw się, poradzę sobie. Bardziej lękam się o ciebie. Wielkie bogactwo, o ironio, nie daje szczęścia, a przynosi rozmaite zagrożenia. Kiedy wyjdiesz za Boyda, zmieni się całe twoje życie. Kocham cię i chciałbym dla ciebie samego dobra.

- Nie musisz się o mnie martwić - zapewniła, widząc, że ojciec mówi poważnie. - Ufam Boydowi bezgranicznie. - Zebrała się na odwagę. - Jest jeszcze coś, o co cię chciałam spytać. Czy kiedykolwiek dostrzegłeś oznaki, że Rupert interesuje się mamą bardziej, niż powinien?

- Skąd ci to przyszło do głowy?!

- Rupert coś takiego powiedział. Byłam tak samo zszokowana jak ty, ale ludzie miewają sekrety. I myślę, że Rupert naprawdę kochał się w mamie.

- Moje drogie dziecko, nie zauważyłem najmniejszych sygnałów. Serena nie miała o tym pojęcia. Kochała Alexę jak siostrę. Kochała mnie. Nie wiem czemu, ale naprawdę mnie kochała. Byliśmy najszczęśliwsi pod słońcem, cała nasza trójka. Serena miała w sobie naturalną słodycz, przyciągała do siebie ludzi, wydobywała na wierzch ich najlepsze cechy. Pękło mi serce, kiedy zginęła tak tragicznie. Pewnie to widzisz.

- Czy rani cię to, że jestem do niej bardzo podobna? - zapytała, biorąc ojca za rękę.

- Och, córeczko... - Miał łzy w oczach. - Byłem tak skupiony na sobie, że nie zauważyłem, jaką ci robię krzywdę. Jesteś żywym obrazem Sereny i wspomnienia czasem sprawiały mi niewymowny ból. O ludziach takich jak ja mawiało się dawniej: pogrążony w nieutulonej rozpacz.

- A mimo to ożeniłeś się z Delią?

- Myślałem, moja kochana, że w ten sposób stworzę ci ciepły dom.

Serdeczne słowa zwykle powściągliwego ojca rozczuliły ją niemal do łez.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Leona maszerowała energicznie do samochodu w podziemnym garażu, nucąc pod nosem melodię, która właśnie przyszła jej do głowy. Coś romantycznego.

Miała smykałkę do takich rzeczy. Była umówiona z Boydem na wieczorne wyjście i czuła znajomy przyływ ekscytacji. Po raz pierwszy dała się unieść radosnemu przeświadczeniu, że nie tylko kocha, ale i jest kochana. Robbie nie miał z tym nic wspólnego. Incydent z kolczykami był tylko pretekstem, zasłoną dymną. Wiedziała, że Boyd ją kocha. Być może ta wiedza towarzyszyła jej od dawna, tylko bała się do tego przyznać. Frunęła, jakby miała skrzydła u ramion.

- Leona! - zawołał znajomy głos apodyktycznie. - Nie uciekaj. Chcę z tobą porozmawiać.

Odwróciła się, wściekła z powodu bezczelnego natręctwa głosu, jak i nieproszonej obecności jego właścicielki.

- Nie mam ochoty z tobą rozmawiać, Tonyu - odparła ostro. - Co tu właściwie robisz? Jestem już spóźniona. Wychodzę z Boydem na kolację.

Tonya w rekordowym czasie pokonała dzielącą je odległość. Potrząsała lewą stopą, jakby usiłowała wytrząsnąć kamyk z sandałka na wysokim obcasie.

- Jak sądzisz, czemu on chce się ożenić z tobą, a nie z Chloe?

Wypluła to z siebie z takim jadem, że Leona cofnęła się o krok.

- Jinty z tobą rozmawiała? - A dlaczego nie? Przecież są siostrami. Mimo wszystko zaskoczył ją brak dyskrecji ze strony żony Ruperta.

- Nie, to nie Jinty. Faktem jest, że moja siostra i ja bardzo się pokłóciłyśmy i nie rozmawiamy ze sobą.

- Nie dziwię się. Masz takt przekupki.

- Nie martw się o mnie, dziękuję bardzo. - Podniosła głowę zaczepnie. - Miewam się świetnie. Powinnaś się raczej zatroszczyć o siebie. Nieważne, kto mi powiedział, ale wiem.

- Przyszłaś mi pogratulować?

- Wcale cię nie kocha, ślicznotko, choć tak zadzieraszą nosa - wypaliła Tonya. - Lubi cię, wszyscy to wiemy. Ale lubienie jest innego rodzaju uczuciem niż miłość. Jesteś jego rodziną. Zna cię od czasu, gdy byłaś dzieckiem. Jednak z tego jeszcze nie wynika, że kocha cię tak, jak mężczyzna powinien kochać kobietę, którą poprowadzi do ołtarza. Nie jesteście sobie równi, jeśli wiesz, co mam na myśli.

- I doszłaś do tego zupełnie sama? - spytała z udawanym spokojem Leona.

- Miałam swojego informatora - zachichotała złośliwie Tonya. - W każdej rodzinie jest jakaś plotkara, a akurat od tej dowiedziałam się sporo o szkieletach w szafie Blanchardów. Powiedzmy uczciwie, nieźle się prezentujesz, masz wystarczająco dobre pochodzenie i umiesz się zachować, choć Rupert oczywiście wolałby Chloe. Sporo członków rodziny spiskuje, jak wyzwolić się spod jego silnej ręki. Oglądają się na Boyda, którego chętnie by widzieli na czele firmy i rodziny. Boyd wybrał cię, z pewnością dla jakichś dobrze przemyślanych powodów. Parę już wymieniłam. Boyd to zimny strateg i każdy jego ruch jest zaplanowany. Lubi ładne kobiety, a Chloe ustępuje ci urodą. Wskoczysz mu do łóżka na pierwsze kiwnięcie palcem. A poza tym jesteś na tyle młoda, że może cię ulepić, jak mu się spodoba. Zadziwia mnie, jak możesz być tak głupia, żeby nie przejrzeć jego gry.

Leona wyjęła kluczyki i przycisnęła pilot.

- Skończyłaś? - upewniła się zimno.

Cóż to za obrzydliwa osoba. Tamta tylko zacmokała.

- Może to absurdalne, bo cię nie lubię, ale się na tobie zawiodłam. Myślałam, że masz charakter. Tymczasem jesteś zupełnie pozbawiona kręgosłupa. Boyd tobą manipuluje. Naprawdę nic nie widzisz? Może jest wszystkim, o czym marzy kobieta - do licha, nawet ja nie jestem nieczuła na jego wdzięki - ale nie zaufałam mu ani krzynek więcej, niż ufam staremu Blanchardowi. Stałaś się zwykłym pionkiem w rozgrywce o władzę między ojcem a synem. Trofeum wojennym, można rzec. Nie pierwszy raz zdarzają się takie rzeczy. A jeszcze jest ta inna sprawa.

To był chytry trick i Leona dała się nabrać.

- Jaka inna sprawa? - zapytała.

- Jeszcze nie jesteś panią Boydową Blanchard, kotku. Nie bądź taka nadęta. Żebyś się nie zdziwiła, jak nic z tego nie wyjdzie. Mówię o twojej drogiej matce, słodkiej Serenie.

Jak na osobę, która nie znosiła przemocy, Leona poczuła przyływ zdumiewająco morderczych chęci. Jak dobrze byłoby walnąć Tonyę prosto w gębę wykrzywioną w sztywnym grymasie.

- Ani słowa więcej.

Ale grubiaństwo Tonyi nie miało granic.

- Słyszałam, że Rupert na nią leciał - ciągnęła, zaślepiona zawiścią.

Spokojnie, mówił w jej głowie wewnętrzny głos. Opanuj się. Opanowanie zawsze popłaca. W końcu nosi nazwisko Blanchard. Nie wypada jej uciekać się do rękoczynów.

- To samo źródło? - spytała sucho. - Anonimowa kobieta równie nikczemna co ty? Mogę się tylko domyślać, o kim mówisz, ale zapewniam, że Rupert wam nie podziękuje za plotki na jego temat.

- I co zrobi? Przecież mówię prawdę.

- Masz jadowity język, Tonyu. Lubisz siał niezgodę.

- A jeśli moją informatorką jest Geraldine? Jego własna siostra? - Na chudej twarzy Tonyi odmalował się złośliwy triumf.

Nie daj jej satysfakcji! Wsiądź do samochodu. Odjedź. By ukryć osłupienie, Leona odwróciła się do auta i otworzyła drzwi.

- Ludzie lubią plotkować - naigrawała się z niej Tonya. - Nawet ta arogancka stara suka, Geraldine.

Pokusa wymierzenia złośliwej kobiecie policzka wróciła z całą siłą, ale Leona się powstrzymała.

- Geraldine nigdy nie zdradziłaby rodziny - stwierdziła z niewzruszoną pewnością - i nigdy, ale to przenigdy nie zwierzyłaby się tobie. Ludzie cię nie lubią. Nie ufają ci. I mają powód. Wiedzą, że rozmyślnie szkodzisz innym.

- Cóż za szlachetna lojalność! - syknęła tamta. - Powiem jeszcze raz, to Geraldine zdradziła mi różne wasze brudne sprawy. Idź, zapytaj. Pewnie się wszystkiego wyprze,

ale pomyśl, skąd bym знаła tyle rodzinnych sekretów? Czy Geraldine nie jest najbardziej prawdopodobnym źródłem? Sprawdź sama.

- Nie zamierzam obrażać jej podobnym posądzeniem - wycedziła Leona. - Jesteś koszmarną babą.

Tonya zachichotała, jakby rozśmieszyła ją łatwowierność młodszej kobiety.

- Rób, co chcesz, nieszczęsna naiwniaczko. Nie moja sprawa. Będiesz grała, jak Boyd ci zagra, ale pewnego dnia się tobą znudzi i znajdzie sobie inną zabawkę.

Zaraz po przyjeździe do domu Leo zadzwoniła do Boyda. Trzęsła się ze zdenerwowania. On najwyraźniej jeszcze nie wrócił, więc tylko nagrała na sekretarce wiadomość, że ma koszmarną migrenę i chciałyby odłożyć spotkanie na inny dzień.

Zadzwonił do niej piętnaście minut później.

- Zaraz przyjeżdżam. - Nie słuchał jej protestów. - Za dobrze cię znam. Może boli cię głowa, współczuję, ale założyłbym się, że byłaś narażona na czyjaś agresję.

- Ależ nie. Naprawdę nie rób sobie kłopotu.

- Właśnie wyjeżdżam - uciał.

Najwyraźniej dobrze się znał na kobietach.

Przebrała się szybko w luźną żółtą sukienkę. Boyd potrafi ją przejrzeć na wylot. Co mu teraz powie? Nie chciała generować nowego konfliktu. Tymczasem pojawiły się kolejne wątpliwości i nieufność. Niemal kryzys.

„Nie wyjdę za ciebie. Nie mogę”.

Nie będzie tego słuchał. Wszelkie protesty są bezcelowe. Słowa Tonyi, że Boyd pewnego dnia ją porzuci, trafiły celnie. Uruchomiły ukryte lęki. Ale lęk jest częścią ludzkiego życia. Trzeba go oswoić i iść do przodu. Nie jest bluszczem, nie potrzebuje mężczyzny, by go oplatać i wspierać się na nim.

Co jeszcze powinna mu powiedzieć? „Tonya zaskoczyła mnie na parkingu. Twierdzi, że Gerri powiedziała jej o potajemnej miłości Ruperta do mojej matki”. Nie uwierzy. Oboje znali zdanie Gerri na temat Tonyi. Uważała ją za głupią i podłą kobietę - a znała się na ludziach i rzadko się myliła.

A walka o władzę między Boydem a Rupertem? Już raz wypłynął ten temat. Czy nie zarzuciła Boydowi, że traktuje ją instrumentalnie w rozgrywce z ojcem? Czy nie odparł wówczas jej ataku?

O co naprawdę tu chodzi? Może dla Boyda najważniejszy jest biznesowy zamach stanu i przejęcie firmy? To prawda, jest piekielnie ambitny. Właściwa żona mogłaby ułatwić mu osiągnięcie stosownej pozycji. Chloe, faworytka Ruperta, wcale się do tej roli nie nadaje. Ona, Leo, sprawdzi się dużo lepiej. Boyd dobrze ją zna, zawsze się nią opiekował. Należy do jego świata. Teraz wie także, że są dobrani seksualnie.

Jad, gdy już się dostanie do krwiobiegu, jest trudny do zwalczenia. Ludzie tacy jak Tonya nie dbają o przyzwoitość. Czerpią perwersyjną radość z zatruwania innym życia. I nagle Leonę olśniło: Tonyę trawi zawiść wobec wszystkich Blanchardów. To bardzo frustrujące znaleźć się w ich orbicie, wśród możliwych tego świata, bez nadziei, że dotrzyma się im kroku. Tonya w konsekwencji znienawidziła wszystkich Blanchardów i miała do nich pretensje o to, że świat nie jest sprawiedliwy.

- Co się stało? - spytał bez wstępów Boyd.

Był tak wyczulony na jej nastroje, że natychmiast dostrzegł zdenerwowanie narzeczonej. Wziął ją za rękę i usadowił na kanapie. I czekał.

- Mów, proszę - zachęcił. - Wszystko możesz mi powiedzieć, niczego przede mną nie ukrywaj. Nie ma takiej rzeczy, której dla ciebie nie naprawię.

Nie chciała na niego spojrzeć. To grozi utratą koncentracji. Przez ostatnich sześć czy siedem lat marzyła czasem, że Boyd się w niej zakocha. To była jej mrzonka, jej sen. Teraz się ziścił. Księżę z bajki chce się ożenić z Kopciuszkiem. Ale prócz nich jest jeszcze rodzina i potężny koncern, czyli losy setek ludzi.

- Leo - przynaglał ją łagodnie. - Nie mogę cię zmusić do mówienia, ale nie kryj się przede mną.

- Nie wiem, od czego zacząć.

- Może od imienia osoby, na którą dzisiaj wpadłaś? Nigdy nie twierdziłem, że wszystko pójdzie jak po maśle. Ojciec ma swoje wpływy. Już próbował wyrzucić na nas presję, ale mu się nie udało. Z pewnością z ciebie nie zrezygnuję.

Odwróciła się do niego z pytaniem w oczach. Czy Boyd mówi jak zakochany mężczyzna, czy raczej jak człowiek nawykły do egzekwowania swojej władzy? Był przyzwyczajony do wydawania rozkazów. Przychodziły mu z łatwością.

- Jesteś pewien, że nie chcesz mnie po prostu mieć na własność? - Miała ochotę się rozpłakać.

- Kochanie, to działa w obie strony - wyjaśniał cierpliwie. - Należysz do mnie, jak ja należę do ciebie. Jesteś moja, a ja twój. Jeśli życie jest podróżą, nie chciałbym mieć innej towarzyszki.

- A nie uważasz, że przypominam niezapisaną kartę? - kontynuowała.

- Leo, nie bądź niemądra - parsknął śmiechem. - Jesteś niesamowicie utalentowana. Czemu tak nisko się oceniasz? - Pocałował ją, jakby to miało przypieczętować jego deklaracje.

- Jak sądzisz, czy Gerri mogła rozmawiać z innym członkiem rodziny o uczuciach twojego ojca do mojej matki?

- Rozmawiała o tym ze mną - rzekł z naciskiem. - Uznała, że kiedyś się dowiem i chciała mnie uprzedzić, ale ja już o tym wiedziałem od mojej mamy. Nawet jeśli w owym czasie ktoś się domyślał, uczucia mojego ojca nie były tematem omawianym na rodzinnych konwentyklach. Kiedyś byłem wściekły na ojca ze względu na mamę. Teraz zmieniłem zdanie. Człowiek jest bezradny wobec strzały Amora. Ojciec musiał darzyć Serenę szczerym afektem, bo nie zrobił niczego egoistycznego. Zachował niezwykłą delikatność. Nad uczuciami nie panujemy. Nad czynami, owszem. Powiesz mi, co cię wprowadziło z równowagi?

Ale ona ciągle miała ściśnięte gardło. Boyd jeszcze ani razu nie powiedział, że ją kocha...

Może to jej wina? Zbyt wiele oczekuje? Chce, by się w niej kochał do szaleństwa, a sama nigdy mu nie wyznała, choć miała to na końcu języka: Jesteś wszystkim, czego pragnę! Uwielbiam cię.

Brakowało jej tych dwóch najważniejszych słów i to ją zabijało.

- Czy przypadkiem nie była to ta plotkara Tonya? Powinna odwiedzić psychiatrę. Tę babę zżera zazdrość.

Leona wzięła głęboki oddech. Nie chciała wpędzić Tonyi w kłopoty, niezależnie od tego, jak bardzo jej nie lubiła.

- Czyli zgadłem - skomentował, poprawnie interpretując jej milczenie.

- Nie wierzę, że się zdradziłam.

- Czytam w twoich myślach. - Dotknął jej twarzy. - Jesteś taka piękna. - Zsunął rękę na pierś. - Chcę się z tobą kochać, aż zapomnisz o całym świecie. Jesteś moja, Leo, ale musisz mi ufać. To rozkaz, więc go wykonaj.

Później już nie było słów, tylko pocałunki. Delirium zmysłów. Zachwyty, który ją uskrzydlał.

Leżeli w rozkosznym stanie nieważkości, mocno obejmując się ramionami. Seks był niezwykle namiętny. Oboje zatracili się w wirze emocji. Ciszę przerywały tylko przyspieszone oddechy i jęki rozkoszy. Cokolwiek przyniesie im przyszłość, akt miłosny, w którym łączyły się ich ciała, był doskonały. To chyba najlepszy dowód, myślała Leona, że jesteście sobie przeznaczeni.

Ostry dźwięk telefonu strącił ich na ziemię.

- Nie odpowiadaj - mruknął Boyd.

- Sprawdź, kto dzwoni. - Zsunęła się z łóżka i wzięła bezprzewodową słuchawkę.

- Halo?

- Leo, to ty?

- Jinty? Wszystko w porządku? - Niemożliwe. Żona Ruperta dzwoniła do niej od wielkiego dzwonu.

- Czy Boyd jest u ciebie? Wszędzie go szukam.

- Co się stało? - spytał, gdy przekazała mu słuchawkę.

Leona szybko narzuciła szlafrok. Mogło chodzić tylko o Ruperta. Zachorował? Nie żyje?

- Gdzie jest teraz? - spytał Boyd poważnym, ale spokojnym głosem. To dodało jej otuchy.

- Przyjedź do domu - odparła Jinty.

- Ojciec poczuł się bardzo źle - wyjaśnił jej chwilę później. - Jest z nim doktor Morse. Nie czuj się winna, Leo. Gdyby sytuacja była poważna, kazałby go hospitali-

zować w mgnieniu oka. Myślę, że ojciec sięga po wszelkie możliwe sposoby, żeby nam przeszkodzić. Znam go przecież.

- Sugerujesz, że odgrywa scenę na nasz użytek? - spytała z niedowierzaniem. - Nie zrobiłby tego. To takie...

- Nieuczciwe, to najłagodniejsze określenie. Przychodzi mi jeszcze do głowy podle albo godne pożałowania. Mimo wszystko jest moim ojcem, więc jadę do Brooklands.

- Mówiła dziwnie. Jakby była przerażona.

- Jediną rzeczą, której Jinty się boi, jest utrata pozycji społecznej. - Boyd uśmiechnął się cynicznie. - Napracowała się, żeby ustrzelić milionera. Wyszła za niego, płacąc wysoką cenę. Nie są ze sobą blisko, o czym sama wiesz. Nawet gdyby miała wszelkie przymioty ducha i ciała, ojciec jest tak opancerzony, że nie dopuściłby jej do środka. Taki już jest. Nikogo nie kocha. Nikomu nie ufa.

- Myślę, że kocha ciebie, Boyd.

- Wyłącznie jako przedłużenie samego siebie. Może wcześniej mnie kochał, zanim osiągnąłem wiek męski i przestałem słuchać jego rozkazów. Różne bywają sposoby kochania, a on jest dość skomplikowany. W głębi duszy jest strasznie zazdrosny, bo uświadamia sobie, że zabrakło w jego życiu czegoś niezwykle istotnego. Wielokrotnie dał mi to do zrozumienia, choć równocześnie chowa swoje kompleksy pod maską agresji. Nie jest w stanie znieść myśli, że los daje mi to, czego jemu odmówił. Ojciec nie jest wciele- niem cnót, tylko tyranem. Przez całe życie zastraszał i upokarzał ludzi. Teraz woli, że- bym się ożenił z niekochaną kobietą, niż znalazł szczęście w miłości.

Tuż przed wyjściem z mieszkania Leony Boyd wyjął z kieszonki na piersiach pier- ścionek.

- Chciałbym, żebyś go włożyła. - Był to wspaniały szmaragd w oprawie z diamen- cików, na widok którego Leona niemal straciła mowę. - Pomyślałem, że do twoich oczu będzie pasował zielony kamień, ale jeśli ci się nie podoba, możemy go wymienić.

- Od kiedy go masz? - szepnęła, gdy wsuwał jej na palec pierścionek zaręczynowy.

- Przechowywałem go od dawna. Dla ciebie. Teraz ruszajmy. Chcę się zobaczyć z doktorem. Jeśli ojciec rzeczywiście źle się poczuł, może uda się namówić go do zmiany stylu życia. Nie powinien lekceważyć zdrowia.

Jinty wyszła im naprzeciw, a z wyraźnej konsternacji na widok Leony - czego nie zdążyła ukryć - można było wnioskować, że spodziewała się samego Boyda.

- Bogu dzięki! - wykrzyknęła. - Umierałam ze zdenerwowania.

- Ojciec na górze?

- W swojej sypialni. Jest z nim Drew. Będzie lepiej, jeśli Leona zostanie ze mną na dole - powstrzymała ich. - Rupert jest w fatalnym stanie. Może mu się pogorszyć. Przejdźmy do salonu - zwróciła się do Leo, gdy Boyd wchodził po schodach. - Musisz mi pokazać pierścionek zaręczynowy. Ten szmaragd jest wspaniały!

- Twoja siostra złożyła mi dzisiaj niespodziewaną wizytę.

- Mówiłam tej idiotce, żeby się trzymała od ciebie z daleka.

- Skutek był mizerny. Tonya najwyraźniej nie słucha nikogo. Twierdzi, że ktoś w rodzinie zdradza jej cudze sekrety. Wiem, że nie ty. Nie przychodzi ci do głowy, kto to może być?

- Frances Blanchard, mogę się założyć - mruknęła Jinty. - To pewnie ona. Jest złośliwa i uwielbia plotki. Nawet się zastanawiałam, o czym tak szepczą po kątach z Tonyą. Niekochane kobiety są zgorzkniałe i pamiętliwe.

W sypialni Boyd uściskał rękę długoletniego lekarza i przyjaciela swego ojca.

- Powiem to prosto z mostu, Boyd - oznajmił Drew Morse. - Rupert jest całkowicie przeciwny twojemu małżeństwu z Leoną. Bóg raczy wiedzieć czemu, bo trudno znaleźć miłszą młodą kobietę. Doprowadził się do hysterii. Powiedziałem mu to. Cierpiał z powodu tachykardii, czyli przyspieszonej akcji serca. Zająłem się tym. Powinien zrezygnować z cygar, uważać na dietę i ograniczyć brandy. Jeśli się nie dostosuje do moich rad, z czasem grozi mu zawał lub wylew.

- Słyszałeś, ojcze? - Boyd wziął milczącego dotąd Ruperta za rękę, ale starszy Blanchard go odtrącił. Wycelował w lekarza palec, jakby mierzył z pistoletu.

- Dzięki, Drew. Możesz już iść. Możesz też uznać się za zwolnionego. Nie wracaj więcej.

- Jak sobie życzysz. - Drew Morse schylił się po walizeczkę i skierował do drzwi. Służył Rupertowi wiernie przez wiele lat, ale zawsze podejrzewał, że tak się to skończy.

- Zostań na dole, Drew - poprosił Boyd, któremu żal się zrobiło lekarza. - Chciałbym z tobą porozmawiać. Wiem, że zawsze leżało ci na sercu dobro ojca.

- Poczekam, jeśli ci na tym zależy - uśmiechnął się blado doktor.

- Wzruszająca scenka - skrzywił się Rupert, gdy tylko zamknęły się drzwi. - Dobrze się przez te lata obłowił. Jestem pewien, że inaczej nie byłoby go stać na ten luksusowy samochód, który stoi na podjeździe. Mam nadzieję, że przyjechałeś sam. - Wbił w syna świdrujący wzrok.

- Leona, moja narzeczona, jest na dole.

Przez chwilę Boyd miał wrażenie, że ojciec wyskoczy z łóżka.

- Nie rób tego. Pomyśl o zdrowiu, jeśli już o niczym innym. Nie chcę, żebyś się doprowadził do zawału.

- Jesteś pewien? - Patrzył na syna ze złością i szyderstwem.

- Oczywiście! - Współczuł mu, ale jego aluzje były poniżej wszelkiej krytyki.

- Chciałbym zamienić z Leoną parę słów na osobności - poprosił niespodziewanie Rupert. Jego głos, przed chwilą pełen agresji, teraz był słaby i drżący.

- Jeden warunek. Dasz mi słowo, że nie powiesz niczego, co mogłoby ją obrazić czy sprawić jej przykrość. Wiemy obaj, że jest czuła i łagodna.

- Dobrze, dobrze. Obiecuję. Teraz ją przyprowadź.

Trzy głowy odwróciły się na jego widok. Drew poderwał się z fotela, ale Boyd dał mu znak, że porozmawiają później.

- Ojciec chce się z tobą zobaczyć sam na sam. Obiecał, że cię nie zdenerwuje, ale niezbyt mu ufam - zwrócił się do narzeczonej. - Będę czekał pod drzwiami.

- Poradzę sobie - uspokoiła go. - Rupert zawsze był dla mnie bardzo miły. Może zmienił zdanie.

Myśląc później o tej rozmowie, Leona zastanawiała się, jak to się stało, że w swojej naiwności tak dalece się pomyliła w ocenie motywów starego Blancharda.

- Zamknij drzwi, proszę. - Wyglądał blado, a policzki miał zapadnięte.

Zrobiło jej się żal mężczyzny, który nagle postarzał się o dziesięć lat.

- Bardzo źle się czujesz? - Zajęła miejsce na krześle przy łóżku.

- Jestem osłabiony. - Patrzył na nią, wcale jej nie widząc.

- Nie było dnia, żebym nie myślał o twojej matce - wyznał nagle. - Często chodzę w to miejsce, gdzie zginęła. Ożeniłem się z miłości, ale Alexa szybko mnie przejrzała i odsunęła się ode mnie emocjonalnie. Serena dostrzegała w ludziach tylko dobro. Była taka niewinna. Zakochałem się w niej do szaleństwa. W domu nie zaznałem uczucia i nie okazywałem go nikomu, i oto nagle, w czterdziestym piątym roku życia, dopadł mnie romantyczny zawrót głowy. Sam nie wiem, do czego by doszło, gdyby nie zginęła tragicznie.

- Zapewne do niczego - wtrąciła Leona. - Moja matka była szczęśliwą młodą mężatką, i nie była świadoma twoich uczuć. Przestań się dręczyć rozważaniami, co być mogło, a się nie stało. Często się zdarza, że ludzie zakochują się w niewłaściwej osobie, i to zawsze przynosi ból. Miłość jest wielką tajemnicą. Jednym się zdarza, a innym nie. Przykro mi, że miałeś tak pogmatwane życie.

- Mam wrażenie, że moje życie stało się kompletnie jałowe - burknął.

- Sam wznosisz mur między sobą a ludźmi. Otwórz się na uczucia. Masz świetnego syna, szansę na wnuki. Nie dręcz siebie i innych. Nie musisz żyć w sferze mroku.

- Myślisz, że nie mam szansy na zbawienie? - Zaśmiał się gorzko.

- Nieprawda - zaprotestowała gorąco. - Wszystko zależy od ciebie. Masz nasze pełne wsparcie.

- Nie jestem święty.

- Ja też nie, ale przynajmniej się staram.

- Ile chcesz za zerwanie zaręczyn? - spytał znienacka. - Mogłabyś sprzedać Boydowi jakąś łzawą historyjkę, że sytuacja cię przerosła, że nie umiesz się dostosować do jego stylu życia. Mogłabyś wyjechać na drugą półkulę. Wszystko ma swoją cenę. Jestem gotów zapłacić tyle, ile zażadasz.

Resztki sentymentu, jaki jeszcze miała do Ruperta, gwałtownie wyparowały.

- Jako żona Ruperta byłabym bardzo bogata - stwierdziła zblazowanym tonem.

Zaskoczyła go. Przez moment miał taką minę, jakby się na niej gorzko zawiódł.

- Dlatego chcesz za niego wyjść?

- Oczywiście - skłamała bez zmrużenia oka.

- Urodzona aktorka z ciebie - skomentował pogardliwie. - Nawet mnie nabrałaś. Mój syn długo jeszcze poczeka na przejęcie władzy. Jakies piętnaście, dwadzieścia lat, jeśli będę o siebie dbać. A teraz podaj swoją cenę. Ile ci trzeba do szczęścia?

- Jak myślisz, ile jest gwiazd w Drodze Mlecznej? - Podniosła się z miejsca. - Okazuje się, że Boyd ma rację. Zrobisz wszystko, byle tylko go unieszczęśliwić. Dobrze wiesz, że go kocham, a na to nie ma ceny. Uwielbiam go od zawsze. To moja pierwsza miłość. Ostatnia miłość. Jedyna miłość.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Plotki o konflikcie między ojcem a synem rozeszły się z szybkością błyskawicy. Pracownicy dwóch domów towarowych w Sydney, należących do sieci Blanchard, zbierali się w grupki po kątach, by omówić sytuację. Przez dziesięciolecia Rupert Blanchard był postrachem dla swoich pracowników. Boyd przyniósł całkowitą odmianę stylu zarządzania. Ludzie jak jeden mąż stanęli po jego stronie. Kobiety wzruszały się niespodziewaną love story. Nikt wcześniej nie zorientował się, że Leona i Boyd są bohaterami wielkiego romansu. Byli niezwykle dyskretni.

Teraz Leo otwarcie nosiła pierścioneł zaręczynowy i przyjmowała gratulacje płynące ze wszystkich stron. W dodatku w przeważającej większości szczere.

Robbie tryskał radością.

- Jesteście dla siebie stworzeni - mawiał.

Geraldine ujęła to inaczej.

- Najwyższy czas!

- Ojej! - westchnęła Sally na widok pierścionka. - Jesteś najszczęśliwszą dziewczyną pod słońcem!

- A Boyd jest najszczęśliwszym facetem! - odparła Leo i obie wybuchnęły śmiechem.

- Jesteście idealną parą - stwierdziła Sally, gdy się trochę uspokoiły. - Bea twierdzi, że zawsze wiedziała, jak to się skończy. Ale nie pisnęła ani słowa.

Dwa dni po powrocie z Nowej Zelandii Chloe Compton zadzwoniła do Leony, pytając, czy mogą się spotkać na kawę. Jeszcze w czasie wizyty u przyjaciółki miała niepokojące telefony z Sydney, by wracała jak najprędzej, bo dzieje się coś złego. Tego jednak nie przewidziała - nie postrzegала młodszej kuzynki Boyda jako swojej rywalki. Wręcz przeciwnie, była przekonana, że tych dwoje kłóci się ze sobą bez przerwy. No, może nie kłóci, ale spiera, przekomarza i prowadzi szermierkę słowną przy każdej okazji i z wielkim zapałem.

Leona nie miała ochoty na to spotkanie, tym bardziej że Chloe nie była w stanie wydusić z siebie nawet zdawkowych gratulacji z okazji zaręczyn. Gorączkowo szukała w głowie jakichś wykrętów. Nie miała siły wysłuchiwać łzawych wynurzeń Chloe na temat złamanego serca i spopielonych wielkich nadziei. W końcu powiedziała, że przez najbliższe dwa tygodnie nie ma ani chwili wolnej.

- Mogłabym wpaść do ciebie któregoś wieczoru po pracy - zasugerowała Chloe. - Obiecuję, że nie zajmę ci dużo czasu.

- Wiesz, gdzie mieszkam? - zdziwiła się Leona.

Z nazwiskiem takim jak Blanchard należało dbać o swoją prywatność; nawet jej numer telefonu był zastrzeżony.

- Oczywiście - odparła Chloe niezbyt uprzejmie. - Boyd wskazał mi twoją kamienicę któregoś wieczoru, gdy wracaliśmy z kolacji. O ile pamiętam, powiedział wtedy: „Tu mieszka moja kuzyneczka”.

Leona nie uwierzyła jej. Boyd musiałby nadłożyć drogi, by mijać jej mieszkanie.

- Chyba się pomyliłaś, Chloe - odparła przyjacielskim tonem. - Boyd nigdy nie mówił o mnie per kuzyneczka, nawet kiedy byłam mała. Możesz powiedzieć przez telefon, o co ci chodzi? Rozumiem i współczuję ci, że mylnie oceniłaś jego uczucia. W tej sytuacji trudno się przyjaźnić, ale może z czasem...?

Chloe odłożyła słuchawkę.

Przyszła tego samego wieczoru. Musiała się dowiedzieć, że Boyd wyjechał na kilka dni do Melbourne.

- Mogę wejść? - Stała przed kamerą domofonu.

Leona nie potrafiła jej omówić. W końcu ma do czynienia z młodą kobietą z dobrego domu. Niewpuszczenie jej byłoby objawem nie tylko braku serca, ale i dobrych manier. Z mieszanymi uczuciami przycisnęła guzik otwierający drzwi. Czemu Chloe tak uparcie usiłuje się z nią spotkać? Czy chce jej powiedzieć, że Boyd złamał obietnicę małżeństwa?

To niemożliwe. Absolutnie wykluczone. Za wiele rzeczy działo się w jej życiu i czasem czuła się jak na diabelskim młynie.

Chloe była wysoką, nieco kościstą młodą kobietą, na swój sposób atrakcyjną, zawsze nienagannie ubraną. Miała gęste ciemne włosy, ciemnobrązowe oczy i jasną cerę. Teraz stała w drzwiach jej mieszkania trochę zaambarasowana.

- Przepraszam, że się narzucam, ale muszę z tobą porozmawiać. - Weszła do środka, zanim Leona zdążyła ją przepuścić.

- Proszę, rozgość się. Kawy, herbaty czy coś mocniejszego? - Zdaje się, że w lodówce miała białe wino i piwo.

- Kieliszek białego wina, jeśli można. - Chloe opadła na kanapę w salonie. - Boże, to koszmar!

- Mam nadzieję, że nie mówisz o mieszkaniu - spróbowała zażartować Leona.

- Nie, jest śliczne. Tak jak ty. - Głos jej drżał. - Mówię o tym, co się stało.

- Chyba nie masz na myśli naszych zaręczyn?

Chloe zaczęła płakać.

- Proszę, uspokój się - prosiła Leona. - Przyniosę ci coś do picia.

Wycofała się do kuchni i nalała dwa kieliszki wina. Koszmar? Dobrze, niech pomyślę. W najgorszym z możliwych scenariuszy, a i takie się w życiu zdarzały, Chloe powiedziałaaby jej, że jest w ciąży z Boydem.

Weź się w garść. Boyd zapewnił ją, że może mu ufać, i to właśnie robi.

Chloe otarła oczy i pociągnęła duży łyk.

- Czy masz pewność, że Boyd jest właściwym mężczyzną dla ciebie, Leono? - zapytała.

- Jesteśmy bardzo szczęśliwi - zapewniła ją spokojnie Leo, choć miała na końcu języka ostrą ripostę. Usiadła na fotelu naprzeciwko.

- Wcale mnie to nie dziwi - jęczała Chloe. - W przeciwieństwie do mnie wygrałaś los na loterii. Moi rodzice, a szczególnie ojciec, są w okropnym stanie. Zachowują się tak, jakby bomba im spadła na głowę.

- To chyba spora przesada. Wiem, że mówiło się o zaaranżowanym małżeństwie, o dobrej starej tradycji, o połączeniu rodzinnych fortun, ale nic więcej przecież was nie łączyło. Słowa, słowa, słowa. Wasi ojcowie są przyzwyczajeni do wtrącania się w życie dorosłych dzieci i podejmowania za was decyzji. To oni spowodowali całe zamieszanie.

- Ojcowie! - Chloe wypluła to słowo jak przekleństwo i popiła winem. Leona pomyślała, że zaproponowanie jej kolejnego kieliszka nie będzie rozsądnym pomysłem. - Pierwszy raz w życiu tatuś się ze mną liczył i zwracał na mnie uwagę - oznajmiła, budząc współczucie u słuchaczki. - Zawsze chciał mieć syna, a urodziłam się ja. Gdyby dzieci łowiło się na wędkę, wrzuciłby mnie z powrotem do wody. Od dziecka wiedziałam, że w jego oczach jestem człowiekiem pośledniejszego gatunku. Czy mnie rozumiesz, Leono? - Skierowała w jej stronę spojrzenie pełne autentycznego bólu.

- Rozumiem i przykro mi ze względu na ciebie.

- Moją wielką szansą był Boyd. Złowienie go na męża uczyniłoby mnie kimś ważnym w oczach tatusia.

- Może ty i twój tatuś trochę za wysoko ustawiliście poprzeczkę? Dziewczyny ugaaniały się za Boydem, odkąd skończył osiemnaście lat.

- Nic dziwnego. Może zawrócić w głowie każdej kobiecie. Kocham go. Znamy się od dziecka. Byłam pewna, że on też się we mnie zakochuje.

Leona była przygotowana na podobny monolog, więc ta ostatnia uwaga jej nie zabolowała.

- Mogłabyś przysiąc, że tak było? Bo ja też znam Boyda i wiem, że nie stwarzałby fałszywych pozorów.

- W wielu miejscach pojawialiśmy się razem. Tatuś sądził, że to dobry znak. Rupert zawsze mnie wyróżniał, robił wokół mnie dużo zamieszania. Chyba wiesz, że popadłaś w niełaskę? Rupert jest wściekły na Boyda.

- To wszystko nic ci nie da, Chloe. - Leona poczuła się zmęczona tą całą konwersacją. - Nie chcę cię popędzać, ale jestem umówiona. - Nie miała oporów przed malutkim kłamstwem.

- Przecież Boyd jest w Melbourne! - wykrzyknęła Chloe, jakby kolacja ze znajomymi była pierwszym krokiem do zdrady.

- Mam przyjaciół. - Okazała niefortunnej rywalce wystarczająco dużo cierpliwości, czas się oswobodzić. - Czy mogę jeszcze coś dla ciebie zrobić?

Chloe wstała, prostując zgarbione plecy i przygarniając do piersi torebkę, która pewnie kosztowała majątek.

- Tatuś mi nie daruje, że nie zatrzymałam Boyda przy sobie - chlipnęła. - To była jedyna szansa, żeby mnie docenił.

- Będą inne - rzekła łagodnie Leona. - Dlaczego nie spróbujesz żyć własnym życiem, Chloe? Zaczynj od wyprowadzki od rodziców.

- Nigdy w życiu! Przecież by mnie wydziedziczyli! I na tym skończyła się rozmowa o niezależności.

Po wyjściu Chloe Leona poczuła dziwną pustkę. Zakochane kobiety są wyjątkowo wrażliwe. W tej chwili bardzo potrzebowała kojącej obecności Boyda.

Telefon zadzwonił o dziewiątej trzydzieści wieczorem.

- Cześć, Kwiatuszku. Przez cały dzień biegałem ze spotkania na spotkanie. Myślałem tylko o tym, żeby do ciebie zadzwonić...

Wszystkie lęki zniknęły na dźwięk jego głosu.

Wrócił następnego dnia po południu i od razu przyjechał do niej. Jednak widok jego chmurnej twarzy wróżył burzę. Wszedł do jej mieszkania, przystojny i władczy, jego męskość wprost porażała. Leo nie czekała, aż sam powie, co go gryzie.

- Co się stało? - spytała, gdy nie pocałował jej na przywitanie.

Miała złe przeczucia.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że ojciec próbował cię przekupić, żebyś zerwała zaręczyny i wyjechała do Europy? - zapytał ponuro.

Spojrzała na niego, jakby głos jej odebrało.

- Żadnych wyjaśnień?

Czy nigdy nie przestaną skakać sobie do gardła?

- Kto ci powiedział? - zareagowała kontratakiem.

Rzeczywiście, nie zrelacjonowała Boydowi ostatniej rozmowy z Rupertem. Była poniżająca. Nie tylko dla niej, ale dla Ruperta, który pokazał bardzo brzydkie oblicze szantażysty i manipulanta. Kochając Boyda, nie chciała go ranić, mówiąc mu takie rzeczy o jego ojcu. Zdaje się, że popełniła błąd taktyczny. W końcu Blanchardowie mieli taktykę i strategię we krwi.

- Dobrze - westchnął, przyciągając ją do siebie. - Czyli to prawda. Na jakiej kwocie staństwo?

- A co ci powiedział Rupert? - zapytała.

- Dziesięć milionów.

Wyrwała się z lekkim śmieszkiem i przeszła do salonu.

- Moim zdaniem nisko cię ocenił, jesteś wart dużo więcej. - W jej głosie była pogarda i potępienie. - Czekam na lepszą ofertę.

Walcząc z własnym wybuchowym charakterem i zmęczeniem po podróży, zbliżył się do niej.

- Nie będzie żadnej oferty. Nie wierzę w ani jedno jego przekłete słowo. Chcę tylko wiedzieć, czemu mi nie powiedziałaś. Dlaczego nie potrafisz mi zaufać? Co mam zrobić, co ci zaoferować, żebyś mnie kochała?

Odwróciła się tak szybko, że spódnica zawirowała wokół jej nóg.

- Kocham cię - krzyknęła gniewnie. - Ale wy, Blanchardowie, jesteście koszmarem rodziną! Powinniście mieć wytatuowane ostrzeżenie: nie dotykać. Chcesz wszystko wiedzieć. Dobrze, powiem ci. Wczoraj na wycieraczce znalazłam Chloe Compton, która postanowiła wylać przede mną swoje żale.

- Nic o tym nie mówiłaś - jęknął.

- Nie chciałam cię martwić - odparła z pasją. - Teraz nie dbam o to. Twój straszny ojciec próbował mnie kupić. Zachowałam to dla siebie, żeby cię nie ranić. Uważałam, że ta niemoralna propozycja stawia Ruperta w paskudnym świetle. Jak widać, przeceniłam go. Może upaść jeszcze niżej. A jeśli chodzi o Chloe, ona przyjmuje do wiadomości, że jej nie kochasz, ale...

- Kochać ją? Mój Boże! - Skrzywił się ze wstrętem. - Niech zgadnę. Powiedziała, że byliśmy kochankami. Chcieliśmy mieć dziecko. We wszystko uwierzę. - Z rozmachem opadł na fotel.

- Aż tak daleko się nie posunęła - odparła chłodno. - Biedna Chloe nie ma za grosz poczucia własnej wartości. Postrzega siebie jako pannę nic. Ustrzelenie ciebie byłoby jej życiowym triumfem. Tatuś byłby z niej dumny.

- Compton ma problem z tym, żeby być dumnym ze swojego dziecka, jedynaczki - przyznał Boyd. - Ale dlaczego ona się na to zgadza? Czemu nie wyprowadzi się z domu i nie spróbuje żyć na własną rękę? Nieważne, niech robi, co chce. Zapomnijmy o Chloe. To smutne dla niej, ale z łatwością można o niej zapomnieć.

- Chloe wierzy, podobnie jak wiele innych osób, że ty i Rupert prowadzicie pojedynek, a ja się między was zaplątałam.

Boyd w desperacji przeczesał ręką czuprynę.

- W jakimś sensie to prawda. Toczymy ze sobą walkę, ale nie ja ją zacząłem. Nie mam żadnego problemu, żeby odziedziczyć pozycję ojca w naturalnym toku rzeczy. Problem leży po stronie ojca i tylko on może się z nim uporać. Życie go tak ukształtowało, że nawet we własnym synu widzi rywala i przeciwnika.

- Więc to pojedynek na śmierć i życie?

- Nie zrezygnuję z ciebie, Leo. Nie dla ojca. Nie dla Blanchardów. Nawet dla ciebie. Idziemy na kolację czy prosto do łóżka? - zaproponował nagle z cyniczną nutą w głosie.

To rozzłościło Leonę. Wyciągnęła zapinkę przytrzymującą włosy. Spadły złotą falą na ramiona.

- Zdaje się, że nigdzie nie pójdziemy i nie dbam o to. Mam dosyć na dzisiaj. To już nie jest sprawa seksu. Nie pozwolę się traktować jak pionek w waszej grze. Jestem kobietą, a nie trofeum sportowym.

- I to jaką! - krzyknął.

Rzucił się ku niej. Liczyło się tylko, by ją wziąć w ramiona.

- Nie waż się mnie całować! - powstrzymała go ze łzami w oczach. - Nie pocałowałeś mnie na powitanie - oskarżyła go z wyraźną pretensją.

Wziął jej twarz w ręce i okrył setkami pocałunków, czułych i namiętych, desperackich i kojących.

- Teraz to nadrobię - obiecywał. - Chodź ze mną do łóżka, Leo.

- Nie chcę. Nigdzie nie pójdę. - Ręce zacisnęła w pięści.

Nagle wydało jej się strasznie ważne, by upierać się przy swoim zdaniu. Pozwalała, by fale pożądania obmywały ją jak woda skałę. Stawianie mu oporu napełniało ją poczuciem siły. Koszty są nieważne, ma swoją dumę i nie pozwoli się tak łatwo przebłagać. Czy Boyd ją kocha, czy tylko jej pożąda?

- Poddaję się! - Boyd uniósł ręce w wymownym geście. - Naprawdę nie wiem, co jeszcze mogę zrobić. W tej chwili jestem tak straszliwie zmęczony, że nie mam żadnych pomysłów. Pragnę cię nieprzytomnie i o niczym innym nie jestem w stanie myśleć. Ale nie zniosę twoich huśtawek nastrojów i wycofywania się przy najmniejszej przeszkodzie. Nie akceptuję twoich prób ukrywania przede mną różnych rzeczy. Rozumiem twoje motywy, jednak znasz mnie na tyle dobrze, by wiedzieć, że jestem w stanie poradzić sobie z przykrymi informacjami. Dużo gorzej znoszę fakt, że nie mówisz mi całej prawdy. Zatajanie faktów też jest okłamywaniem. Poprosiłem, żebyś dzieliła ze mną życie. To chyba najlepszy dowód, jaki mam do ciebie stosunek. Nie jesteś pierwszą lepszą, z którą chciałbym się przespać. Ty też potraktuj mnie poważnie. Albo jesteśmy razem, albo nie. Zdecyduj.

Po wygłoszeniu owego ultimatum Boyd zawrócił na pięcie i wyszedł.

Krew zastygła Leo w żyłach. Miała ochotę pobiec za nim, ale nie była w stanie ruszyć się z miejsca. Czuła się jak po amputacji, jednak zdecydowała się dać sobie czas na przemyślenie sytuacji. Łzy bezsilności popłynęły jej po twarzy. Boyd ma odwagę stawić czoła swemu ojcu, człowiekowi potężnemu i bezwzględnemu. Nawet jej ojciec nie martwi się o karierę i jest gotów zmierzyć się z losem. Więc dlaczego ona jest taka tchórzliwa? Skąd w niej tyle wątpliwości?

Usiadła na kanapie z pudełkiem chusteczek do nosa. Utrata Boyda oznacza największą życiową tragedię. Jest o tyle silniejszy od niej. Jest lepiej przystosowany i ma większe doświadczenie w podobnych kryzysach. Może gdyby była trochę starsza, lepiej by weszła w rolę jego żony i pierwszej damy w świecie biznesu i w rodzinie. Jednak

Blanchardowie nie są tacy źli. W ostatnich dniach przekonała się, jak wielu z nich ją wspiera. Jedynym jej przeciwnikiem jest głowa rodu.

Albo jesteśmy razem, albo nie!

Boyd rzucił jej wyzwanie i miał rację. Musi pokonać własne lęki. I nagle uświadomiła sobie z bezbrzeżnym zdumieniem, że to nie Rupert stoi na drodze do jej szczęścia, tylko ona sama!

Po godzinie zadzwoniła do Boyda, obliczywszy, że na pewno dotarł już do domu. Ułożyła w głowie przeprosiny, błagania o wybaczenie, przysięgi, że nigdy więcej. Jaka kobieta przy zdrowych zmysłach zrezygnowałaby z takiego mężczyzny? Nie musi iść przez życie w pojedynkę. Ma Boyda.

Telefon dzwonił, aż włączyła się sekretarka. Nie było go w domu. Zostawiła mu wiadomość.

- To ja. Przepraszam. Czasami nie wiem, co we mnie wstępuje. Jutro zadzwonię.

Odłożyła słuchawkę i rozpląnęła się we łzach.

Leona nie wiedziała, że Boyd pojechał prosto do swojej ciotki Geraldine - od dawna głównej sojuszniczki i powierniczki - aby omówić sposoby wyjścia z sytuacji, w którą wplątał ich Rupert swoimi knowaniami. Rozmawiali do późna, po czym Geraldine zasugerowała, że nie ma sensu, by wracał do domu, skoro może przespacerować się u niej. Gerri miała dla niego wiele dobrych rad.

- Człowiek ma prawo do jasnego wyrażenia swoich uczuć i myśli - wsparła go. - Musisz jednak mieć wzgląd na to, że Leo jest dużo młodsza i wrażliwsza. Jest osaczona ze wszystkich stron. Każdy próbuje na nią wpłynąć. Niech licha weźmie tę Chloe. Dziewczyna powinna wziąć się w garść. To wina intryg Ruperta. Mam nadzieję, że zobaczysz się z Leo dzisiaj?

- Oczywiście, nie martw się o nas. - I pocałował ciotkę w policzek.

Tak się złożyło, że Boyd od rana miał spotkania w mieście, więc Leona nie miała szansy się z nim skontaktować.

- Powiem mu, że pani dzwoniła, kiedy tylko wróci do biura - obiecała Vera Matthews, jego niezwykle profesjonalna i lojalna sekretarka.

Jednak do południa Leona wciąż nie miała żadnych wieści od Boyda. Wybrała się na lunch sama, bo Sally miała tyle pilnych zajęć, że nie zdołała - wyrwać się nawet na chwilę.

Godzinę później Leo wracała do pracy, gdy przy wejściu do banku dostrzegła Ruperta pogrążonego w dyskusji z jednym z członków rady nadzorczej koncernu Blanchardów. Miała wielką ochotę przejść na drugą stronę ulicy, ale od przeciwnego chodnika oddzielał ją sznur szybko jadących samochodów.

Bob Martin spostrzegł ją pierwszy, uśmiechnął się i uchylił kapelusza. Najwyraźniej Rupert zabrał się do urabiania popleczników, przygotowując się do batalii z synem. Odpowiedziała mu gestem pozdrowienia i wskazując na zegarek dała znać, że się spieszy. Właściwie mogłaby do nich podejść, ale nie miała ochoty na konfrontację z Rupertem. Miała dosyć jego podłych sztuczek. Był człowiekiem, który zastraszał i upokarzał innych, jednak nic nie mogło zmącić jego pewności, że ma do tego prawo i racja jest po jego stronie.

Chodniki w tej popularnej dzielnicy biurowo-handlowej były zatłoczone, ludzie wracali do biur po lunchu, kupujący krążyli od jednego luksusowego sklepu do drugiego, turyści spacerowali wolniejszym krokiem, pstrykając zdjęcia i podziwiając miasto. Nie zauważyła Ruperta, dopóki nie odezwał się tuż nad jej głową.

- Świetnie wiesz, czego chcesz, prawda, moja droga?

Powiedział to cicho, ale z jakiegoś powodu zdanie to zabrzmiało złowrogo.

- Masz rację, Rupercie. Wiem, czego chcę. - Poczowała przyływ odwagi i siły. Odwróciła się, gotowa na konfrontację. Stał przed nią wysoki przystojny mężczyzna, znakomicie ubrany. Otaczała go wyraźna aura władzy i, co stało się w tych dniach wyraźne, przemocy. - Chcę twojego syna. Chcę Boyda. On również nie ma wątpliwości, że chce się ze mną ożenić. Dla nas wszystkich najlepiej by było, gdybyśmy pozostali rodziną. Boyd nie chce z tobą walczyć. Ja też sobie tego nie życzę.

- Co za bezczelność! - parsknął Rupert, mierząc ją nienawistnym wzrokiem.

- Proszę, Rupercie - zaczęła, ogarnięta nagłym smutkiem wobec przemiany, która zachodziła w tym człowieku. Najgorsza przy tym była świadomość, że ta przemiana chyba jest nieodwracalna.

Stali dwa kroki od skrzyżowania, tuż przy głównym domu towarowym Blanchardów. Wokół przepychali się ludzie, trąbiły auta. Leona nigdy jeszcze nie czuła się tak nieswojo. Zmieniły się światła i dokładnie w tym momencie mocna ręka pchnęła Leonę w plecy tak silnie, że zachwiała się na swoich wysokich obcasach i jak podcięta runęła prosto pod ruszające samochody.

Ludzie wokół zamarli przerażeni, ale niezdolni do reakcji. Wszystko działo się zbyt szybko. Inni tłoczyli się z tyłu, nieświadomi, dlaczego ruch na chodniku się nagle zatrzymał. Piękna młoda kobieta ze wspaniałą grzywą złocistych włosów niemal popłynęła w powietrzu wprost na jezdnię. Jeden z kierowców zahamował gwałtownie, wprawiając samochód w poślizg. Jadący za nim SUV nie przewidział tego ruchu i nie zwolnił. W miejskim ruchu wszyscy są przyzwyczajeni do pośpiechu. Jakaś kobieta z małą córeczką wydała z siebie przeraźliwy wrzask.

Leona w ostatnich sekundach życia nie miała czasu na panikę. I tylko Rupert nagle skoczył jak rażony prądem. Zareagował z nadludzką szybkością. Chwycił ją w locie za sukienkę i potężnym szarpnięciem odrzucił do tyłu, na chodnik. Nie zwracał uwagi na zbliżający się z pełną prędkością SUV. Kierowca w ostatniej chwili uświadomił sobie, że oto na drodze wyrósł mu pieszy. Pieszy, który nie powinien się znajdować na skrzyżowaniu, gdy światło zmieniło się na czerwone.

Samochód uderzył w mężczyznę. Jego ciężkie ciało zostało odrzucone, jakby było szmacianą kukłą.

Cały świat zatrzymał się w miejscu, a Leona po raz pierwszy w życiu zemdląła.

Wiadomości telewizyjne o szóstej zaczęły się od informacji, że Rupert Blanchard nie żyje. Wcześniej opis wypadku pojawił się w internecie, a plotka obiegła całe miasto. Dziennikarze różnych stacji telewizyjnych prześcigali się w komentarzach na temat jednego z największych biznesmenów, właściciela sieci domów towarowych, znanego filantropa, który poświęcił własne życie, by ocalić swą przyszłą synową, Leonę Blanchard, narzeczoną jego jedyne syna Boyda. Pan Blanchard został natychmiast przetransportowany z miejsca tragicznego wypadku do najbliższego szpitala, ale zmarł w karetce z powodu ciężkiego urazu głowy.

Leonę zatrzymano w szpitalu ze względu na szok, który przeżyła. Była gotowa uwierzyć telewizyjnym wiadomościom. Rupert poświęcił życie, by ją uratować? Niech wszyscy w to wierzą. W rezultacie to właśnie zrobił. A reszta jest milczeniem. Policja spisała jej zeznanie. Oświadczyła w nim, że czuła się słabo, zakręciło jej się w głowie i potknęła się na wysokich obcasach. Rupert ją uratował. Jakie to tragiczne, że nie uratował sam siebie. Nigdy nie zapomni jego poświęcenia.

Taka też była wersja rodziny. Leona poczuła, że teraz to ona reprezentuje Blanchardów. Jest za nich wszystkich odpowiedzialna, bo Boyd jest głową rodu. Uniesie to. Rupert ukarał się sam.

- Okropny wypadek - szepnęła młoda pielęgniarka. - Musiał panią bardzo kochać.

Boydowi zajęło wiele godzin, zanim opanował prawdziwe trzęsienie ziemi w firmie. Nie miał czasu na osobistą żalobę. Wydał dziesiątki instrukcji i zażegnał panikę, zachowując cały czas profesjonalny spokój, choć jedyne, czego chciał, to odebrać ukochaną ze szpitala i pojechać z nią do domu. Rozmawiał przez telefon z lekarzem, który zajmował się Leoną - nie była ranna, ale wciąż w szoku, dlatego powinna pozostać na obserwacji. Rozmawiał z policją, wysłuchał wiadomości, znał całą historię.

Coś mu się w niej nie podobało, ale nie umiał określić co. Tylko wyostrzony instynkt kazał doszukiwać się drugiego dna.

Zaparkował pod szpitalem na miejscu zarezerwowanym dla personelu, ale nie dbał o to. Wpadł po pokoju, w którym leżała Leona. Nie, nie leżała. Siedziała na krześle ubrana, z rozpuszczonymi włosami. Wydawała się taka bledziutka i krucha.

- Kochanie, przyszedłem najprędzej, jak się dało. - Podniósł ją z krzesła i zagarnął w objęcia. Serce mu topniało z miłości i czułości.

- Boyd - szepnęła - bardzo mi przykro.

- Jesteś gotowa wrócić do domu?

- Pójdę wszędzie tam, gdzie ty - wyznała z głębokim przekonaniem. - Kocham cię całym sercem. Nie wyobrażam sobie życia bez ciebie.

- Przeżyłaś szok. Jestem tutaj. Nigdy nie zostawię cię samej. Jesteśmy nierozłączną parą, ty i ja. Porozmawiamy o wypadku, kiedy będziesz się czuła na siłach.

Przeszła ją pewność, że w jakiś telepatyczny sposób Boyd domyślił się, co się stało. Nie może niczego przed nim zataić. Zawsze domyśli się prawdy. Nie ukryły jej żadne zasłony dymne, choć równocześnie opłakiwał śmierć swojego ojca.

- Na sam koniec uratował mnie. Odkupił winę - zauważyła smutno. - Między nami nie będzie sekretów, prawda?

- Żadnych sekretów - przytaknął.

Przytulał ją mocno, przerażony myślą, że jego ojciec w jakiejś szaleńczej chwili poczuł się krwiożerczym bóstwem, które żąda ofiary. Nie chciał o tym myśleć. Teraz liczyła się tylko jego ciepła, żywa, cudowna miłość - jedyna miłość - Leona.

- Nie powiemy o tym nikomu - obiecała.

Pocałowali się. Ich pierwszy pocałunek w publicznym miejscu. Jeden z wielu, które wypatrzy ciekawsza prasa przez następne lata życia na świeczniku. Byli w końcu Blanchardami - stali się nie tylko symbolem bogactwa i wpływów, ale też miłości i tradycyjnych wartości rodzinnych.

EPILOG

Radosne wieści z wyższych sfer! Daisy Driver.

Reporterka magazynu „Aurora”.

Miejsce: Brooklands, przepiękna posiadłość rodowa Blanchardów.

Okazja: wielka gala na przyjęciu weselnym Leony i Boyda Blanchardów.

Ślub charyzmatycznego Boyda Blancharda i jego ślicznej narzeczonej Leony z pewnością był wydarzeniem roku - a z zawodowego przywileju jestem gościem na wielu podobnych imprezach. Ceremonia zawarcia związku małżeńskiego odbyła się w słynnym rosarium na terenie posiadłości, akurat w momencie, gdy krzewy różane obsypane są kwiatami. Tam właśnie, w bajecznie ukwieconej kapliczce wzniesionej na potrzeby owego dnia, młoda para ślubowała sobie wieczną miłość. Wielu obecnych gości - nie wyłączając piszącej te słowa - uroniło łzę na widok prawdziwej unii dusz łączącej nowożeńców.

Z całego kraju - co mówię, z całego świata! - zjechała się na koszt pana młodego elita towarzyska, prawdziwa *crème de la crème*. Obłędne kreacje. Najszybsze samochody. Oszalająca biżuteria.

Kreacja panny młodej została zaprojektowana przez jej przyjaciółkę, jedną z najbardziej uzdolnionych projektantek mody młodego pokolenia, Liz Campbell. Trudno ją opisać słowami, gdyż wymaga raczej natchnionego pióra poety, ale czegoż się nie robi dla naszych wiernych czytelniczek. Perłowa jedwabna tafta podkreślała porcelanową cerę i płomienne włosy narzeczonej. Suknia odsłaniała ramiona i eksponowała smukłą talię panny młodej, by migotliwym wodospadem opaść aż do ziemi. Welon przypięto do włosów wianuszkiem z różyczek w kolorze kości słoniowej przetykanych połyskującymi górskimi kryształkami i małymi perełkami. Z uszu ślicznej panny młodej zwisały sławne brylanty Blanchardów, kolczyki należące do unikalnego kompletu biżuterii zakupionej przed laty od południowoafrykańskiego właściciela kopalni diamentów. Oto dziedzictwo godne królowych! Gdy słońce obudziło blask w kamieniach, żeńska część zgromadzenia wydała zbiorowe westchnienie zachwytu. Doprawdy, drogie czytelniczki, diamenty są najlepszymi przyjaciółmi każdej dziewczyny!

Pan młody wyglądał wprost wspaniale. Prawdziwy księżę z bajki - niestety, zajęty. Za to wśród družbów znaleźli się najprzystojniejsi i najbardziej pożądani kawalerowie naszego kraju. Nie chcę faworyzować żadnego z nich, ale brat przyrodni Leony Blanchard, Roberto, który ze względu na ślub siostry przerwał w połowie swój roczny pobyt w słonecznej Italii, złamie w przyszłości niejedno serce. Pamiętajcie, ja pierwsza to przepowiedziałam!

Przyjęcie weselne odbywało się we wspaniałej sali balowej w Brooklands. Elegancją i wyrafinowaniem przywodziło na myśl niepowtarzalne rauty na cele dobroczynne wydawane tam przez nieżyjącą matkę pana młodego, piękną Alexę Blanchard. Można mieć nadzieję, że czarująca Leona zechce kontynuować tę tradycję.

Francuski szampan lał się strumieniami. W tej radosnej atmosferze nawet autorce tych słów zaszumiało w głowie i pozwoliła sobie na tańce z Peterem Blanchardem. Komplementował on nie tylko mnie, ale i moją rubrykę towarzyską. Myślę, że znalazłam uznanie w jego oczach, bo umiałam prawdziwie go rozśmieszyć.

Teraz, przy biurku w redakcji, jedno wiem z pewnością. Któregoś dnia, drogie czytelniczki, ja też stanę przed ołtarzem i przeżyję ślub moich marzeń - taki właśnie jak romantyczna i przyprawiająca o zawrót głowy uroczystość w Brooklands.

